

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

PRAWEM I LEWEM



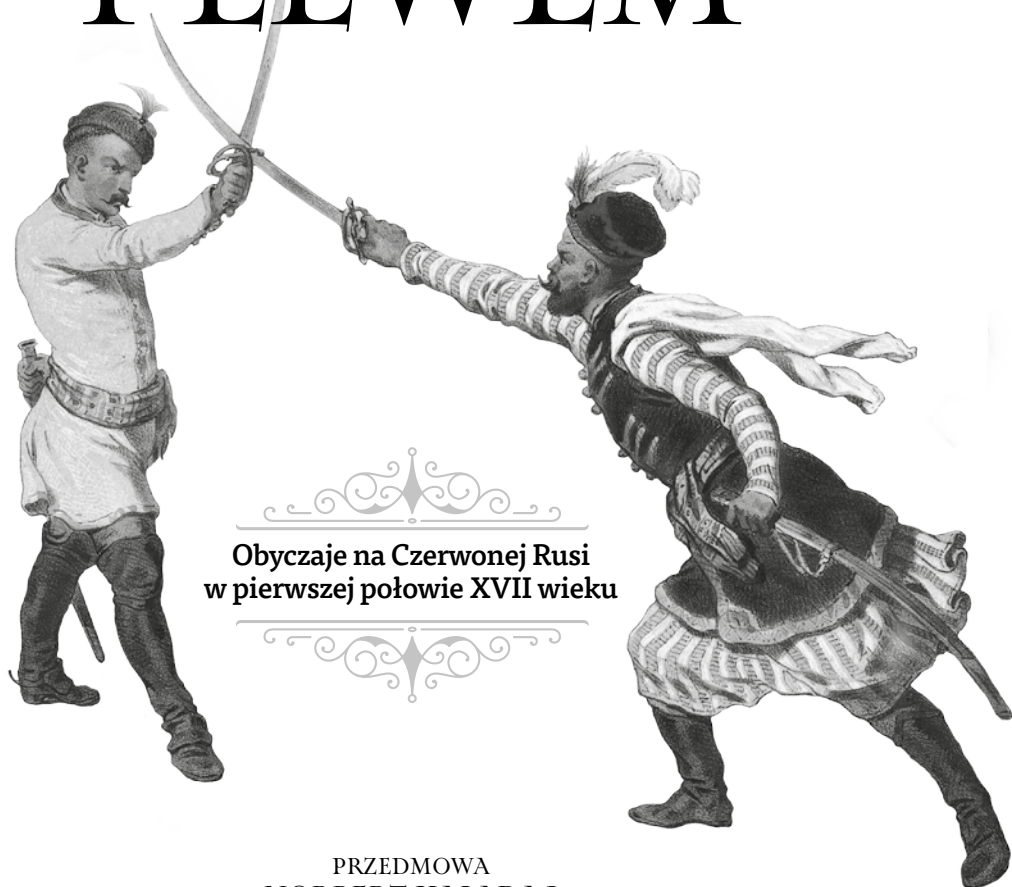
Obyczaje na Czerwonej Rusi
w pierwszej połowie XVII wieku

SR
M
WYDAWNICTWO

PRAWEM I LEWEM

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

PRAWEM I LEWEM



Obyczaje na Czerwonej Rusi
w pierwszej połowie XVII wieku

PRZEDMOWA
NORBERT HAŁADAJ

Przedmowa: **Norbert Haładaj**

Tłumaczenie zwrotów obcojęzycznych: **Artur Foryt**

Redaktor prowadzący: **Anna Willman**

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM (tom I), Olga Smolec-Kmoch (tom II)**

Projekt graficzny: **mBOOKS. marcin siwiec**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Amadeusz Targoński**

Ilustracje na okładce: **Polona.pl**

© Copyright for the Polish edition, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2022

Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.wydawnictwosbm.pl

ISBN: 978-83-8348-005-3

SPIIS TREŚCI

WSTĘP.....	15
NOTA WYDAWNICZA.....	23
PRZEDMOWA DO WYDANIA III I IV.....	24

TOM I. CZASY I LUDZIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY. NIEDOSTATKI PRAWA	29
--	----

I

Laudatores temporis acti. Klątwa bezkarności. Brak władzy wykonawczej. Prawne wybiegi. *Salvus conductus*. Starościńskie egzekucje. *Mota nobilitas*. Kary kompromisowe. Wieża. Banicja i infamia. Labirynt procesowy. Intramisyje. Woźny.32

II

Odpowiedzi. *Vadia regalia*. Rzadkość pojedynków. Zajazdy. Sprawa Derśniaka i konfederacja szlachty przemyskiej. Gubienie zwłok. Porywanie ludzi. Niemirycz i Uberowicz. Łaziński i Montelupi. Dalsze przykłady. Krwawe odwety. Konkluzja.74

ROZDZIAŁ DRUGI. SPRAWY DOMOWE..... 103**I**

Wolność czy niewola? Zameczki. Służba i czeladź zbrojna. Milicje domowe. Cudzoziemskie żołdactwo. Hajduki i sabaty. Mieszkania. Zbytek. Zamki i dwory..... 103

II

Fortuny. Gospodarstwo. Wywóz ziemiopłodów. Niszczenie lasów. Popioły. Z roli i soli. Żegluga. Dzierżawy. Z inwentarzy i testamentów. Obyczaj rycerski 131

ROZDZIAŁ TRZECI. PLAGI ŻYWOTA..... 151**I**

Tatarzy jako plaga chroniczna. Fatalistyczna rezygnacja. Rozprężenie moralne. Wykup z jasyru. Aleksander Bałaban i Jan Żółkiewski. Opowieść wypraw okupowych. Samozwańcy..... 151

II

Żołnierz swawolny. Związki wojskowe. Bezkarność buntowników. Wypłaty zaległego żołdu. Listy przypowiednie. Wybrańcy. Ciurowie. Werbunki zagraniczne. Ucisk wojskowy. Stacje. Lisowczycy..... 168

III

Rozbójnictwo. Toporowski i Kostka. Opryszki ziemi halickiej. Środki zaradcze. Hersztowie szlacheccy. Beskidnicy. Bracia Białoskórscy i bracia Policcy. Udział drobnej szlachty w rozbojach. Watahowie wołoscy..... 191

IV

Zły sąsiad. Zatargi o miedzę. Jaroccy i Dybowski. Ligęza i Humnicki.	
Zdradzieckie domy. Rosińscy. Obrazki z natury. Krwawe biesiady.	
Deprekacje.....	207

ROZDZIAŁ CZWARTY. AMOR I DEMON222**I**

Zajścia rodzinne. Tragedie domowe. Mężobójczynie. Beata	
Zawiszanka. Brat i siostra. Dramatyczna zagadka. Zofia Herburtowa	
i Ewa Podolecka. Piękna Helena. Mściwa świekra. Dwaj kochankowie.	
Piąty akt dramatu. Pani Kłofasowa. Dramat w rodzinie Makowieckich.	
Ossolińska.....	222

II

Porywanie panien. Przyczyna raptów. Panna Halszka. Zosia	
Szpandowska. Kalinowski i Krystyna Strusiówna. Panna	
wojewodzianka Mniszchówna. Chorążanka wyszogrodzka.	
Dramat grabownicki. Mieszczaneczka. Niedyskrecja rodzinna.	
Mezalianse	244

ROZDZIAŁ PIĄTY. RZESZA SZLACHECKA.....258**I**

Drobna szlachta. Jej mnogość i stanowisko społeczne. Jej występowanie	
jako stan i jako ród. Jej stanowisko w walkach o unię. Wojna dwóch	
władcyków.....	258

II

Drobna szlachta jako ród. Nagana szlachectwa i wywody rodowe.
Kaduki. Krwawe odwety. Schłopienie, ambicja stanu. Okazowanie.
Rozrodzenie gniazd. *Milites caligati*. Pospolite ruszenie. 294

ROZDZIAŁ SZÓSTY. CHŁOPI..... 319**I**

Infernus rusticorum. Opieka królewska nad ludem. Akcja chłopów
przeciw starostom i dzierżawcom. Glejty królewskie i ich lekceważenie.
Inwentarze robót i danin. Nadziejów i Raków. Jerzy i Stanisław
Krasiccy. Gminy leżajskie. Komisje królewskie. Ekonomia samborska.
Zamożność ludu. Osadcowie 319

II

Chłopi w dobrach szlacheckich. Przykład sądu na chłopa. Wypadki
otwartego oporu. Opiekunowie ludu. Wybuch w 1648 roku Ihnat
Wysoczan, *dux primarius*. Udział miast, księży i szlachty w buncie
pokuckim. Kałusz jako stolica ruchu. Stłumienie buntu i odwet..... 348

TOM II. WOJNY PRYWATNE**ROZDZIAŁ PIERWSZY. ZIEMIA LWOWSKA365****I**

Uwaga wstępna. Szlacheckie rody. Siła przykładu. Dobre duchy. Hetman
Żółkiewski. Arcybiskup Zamoyski. Mediatorowie. Jan Swoszowski.
Ubytek moralny. Znaczenie Lwowa. Arcybiskup Grochowski..... 365

II

Łahodowscy: tragedia rodzinna. Kainy. Lisowczyk literat. Anna Łahodowska. Jej trzech mężowie. Jej wojny i przygody 377

III

Sienieńscy. Aleksander Sienieński. Adam Kalinowski. Dwaj zięciowie. Wojna o sukcesję. Skarby strusowskie i sidorowskie. Bukaczowce. Trudna bratowa. Morderstwo rytualne 396

ROZDZIAŁ DRUGI. ZIEMIA HALICKA407**I**

Wojewodzina Golska. Jej trzech mężowie. Skarb Mohilanki. Logofetowa. Golkonda Podhajecka. Wojna z Radziwiłłem. Wojna o skarby. Potoccy. Skarb po Urszuli Sieniawskiej..... 407

II

Wołoszki. Mohiłowie. Jeremi Mohiła i jego zięciowie. Eksdygnitarze wołoscy. Uście i „uścieński żołnierz”. Wojny o sukcesje. Miron Bernawski. Nikoryczyna. Metropolita Piotr Mohiła 427

III

Bałabanowie: Izajasz, Aleksander, Jerzy. Archimandria uniowska. Dwaj archimandryci. Monachomachia. Wojna o Perehińsko. Bałaban i Jabłonowski. Sprawa Poniatowskiego..... 436

IV

Rody halickiej ziemi. Buczaccy. Ostatnia Jazłowiecka. Jej spadkobiercy. Podział dóbr Jazłowieckich. Bełzeczcy: Aleksander, Ewaryst, Teodor i Bonawentura. Walka braterska. Delatyn, Łanczyn, Turka..... 449

ROZDZIAŁ TRZECI. ZIEMIA PRZEMYSKA I SANOCKA ... 461**I**

Przewodnie stanowisko ziemi przemyskiej. Świetność i buta rodów szlacheckich. Jan Tomasz Drohojowski i jego wojna ze Stanisławem Stadnickim. Pan chorąży sanocki. Katastrofa..... 461

II

Jan Szczęsny Herburt. Trudność jego charakterystyki. Jego talent pisarski. Kontrast ambicji a kariery. Wojna z sąsiadami. Wojna ze Stadnickim. Wzajemne paszkwile. Rokosz Zebrzydowskiego. Więzienne wizje. Upokorzenie. Ostatnie gorycze żywota. Upadek domu 471

III

Ligęzowie. Pan kasztelan czechowski i pan Andrzej z Piotraszówki. Wojna stryja z synowcem. Bitwa w Przeworsku. Mariaż magnacki. Scheda kasztelańska. Zakopane skarby. Kasztelan Ligęza jako filantrop. Stanisław Ligęza i Jan Krasicki..... 500

IV

Krasiccy. Jan, dworzanin królewski. Wojna rodzinna. Wojewoda Marcin, starosta przemyski. Il Magnifico. Krasiczyn. Barbara Krasicka i jej krewni. Jerzy, starosta doliński. Jego awantury i przygody. Kuratoria. Książę Adam Aleksander Sanguszek. Jacek Dydyński. Starościce dolińscy..... 511

V

Bolestraszyccy. Fredrowie. Syn i matka. Tajemniczy epizod. Wojna Fredry z Przerembskim. Korniaktowie. Wojna Konstantego Korniakta ze Stadnickimi. Franciszek Karol Korniakt. Jego rycerskie zasługi. Mniszchowie. Drugethowie. Sprawa o Laszki 544

ROZDZIAŁ CZWARTY. DIABEL ŁAŃCUCKI575

I

Dubiecko. Rodzice i rodzeństwo. Młodość. Czasy rycerskie. Wyprawa do Węgier. Pod sztandarami Maksymiliana. Smutne trofea. Śluby małżeńskie 581

II

W Łańcucie. Wojna z sąsiadami. Popularność u szlachty. Chciwość fortuny. Zatarg z Ligęzą. Jarmark rzeszowski. Sprawa Korniaktów. Wyprawa na Sośnicę. Pojmanie Korniaкта. Komedia w grodzie sanockim. Zajechanie Wojutycz 592

III

Rokosz Zebrzydowskiego. Akcja polityczna. Obelgi na króla. Rodomontady i odwrót. Zatarg z Jazłowieckim. Skandaliczna korespondencja..... 610

IV

Stadnicki i Opaliński. Powody nienawiści. Pierwsze starcia. Próby zażegnania burzy. Otwarta wojna i pierwsze jej koleje. Słupy paszkwilowe. Odpowiedź. Klęska. Spalenie Łańcuta. Piekielne sceny. Fantastyczne skarby..... 621

V

Po klęsce. Gotowanie odwetu. Wzajemne oskarżenia. Okrucieństwa. Mściwość. Wojna ze wszystkimi. Napady łupieżcze. Terroryzm. Sędziszów. Tyczyn. Łąka. Pośrednictwo królewskie. Płonne zabiegi. Wyzwanie. Na trybunale lubelskim. Sromotna porażka 637

VI

Zagadkowa taktyka. Knowania tajemne. Gabriel Batory. Wilk w owczej skórze. Obłudne supliki i lamenty. Odpowiedź króla. Interwencja senatu. Ostatnie próby rozejmu. Sabaty. Zdobyć Wojutycz. Pojmanie Stadnickiej 651

VII

Akt piąty. Lew osaczony. Ostatnie akty zemsty. Tarnawa. Katastrofa. Wędrówka po śmierci. Rekognicja Opalińskiego. Krwawy szlak band Gaborowych. Epitafium. Antyteza 665

ROZDZIAŁ PIĄTY. DIABLETA 678**I**

Wdowa po Diable. Zjazd Sienieńskiego. Zbrojna reokupacja Łańcuta. Pan kasztelan Sanocki. Walka o synów. Powtórne wyjście za mąż. Wojna z synami. Porwanie Felicjany 678

II

Losy Felicjany. Tyrania braterska. Cieciszowski. Ucieczka i ślub. Napad na Zaderewiec. Ucieczka od męża. Sceny lwowskie. Rozwód. Epilog lubelski 687

III

Synowie Łańcuckiego Diabła. Wojna braterska. Zygmunt Stadnicki i jego losy. Sprawa Cieszanowskich. Piękna Izabella. Gwałty i rozboje. Bracia Dębicy. Wyprawa na Śląsk. Książę lignicki. Śmierć na Śląsku 696

IV

Władysław Stadnicki i jego losy. Zatarż z Ligęzą i wojna z Korniażem.
Wyprawy rozbójnicze na Śląsk. Krwawy terroryzm. Próby rehabilitacji.
Na sejmiku. Egzekucja starościńska. Katastrofa..... 707

PRZYPISY720

INDEKS NAZWISK744

INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH.....785

WSTĘP

„Co za świat, co za świat! Groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy. Świat bez władzy, bez rządu, bez ładu i miłosierdzia. Krew w nim tańsza od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna”.

Taki początek to dla książki historycznej najlepsza rekomendacja. Alfred Hitchcock mawiał, że dobry film zaczyna się od trzęsienia ziemi, a później napięcie już tylko rośnie. Książka o przypadkach prawa karnego w Rzeczypospolitej szlacheckiej lub jak kto woli: Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie mogła by się zacząć lepiej. Inna sprawa, że autor już na wstępie zdaje się sugerować, że w tej Rzeczypospolitej prawo nie funkcjonowało, że zastępowała je anarchia... Czy tak było, jest kwestią podejścia i interpretacji faktów, o czym za chwilę. Pewne jest jedno: nie będzie przesadą nazwanie książki Władysława Łozińskiego Dziełem przez największe „D”. Jej tekst powstał ponad sto lat temu, ale mimo upływu czasu i progresu badań historycznych niewiele się zestarzał. Kolejne wydania są dla coraz to nowych pokoleń historyków, zajmujących się dziejami Rzeczypospolitej Obojga Narodów i pasjonatów historii, skarbnicą wiedzy na temat obowiązującego w niej prawa, mimo że sposób, w jaki potraktowano to zagadnienia budził i nadal budzi nieco emocji wśród badaczy.

Widniejąca w podtytule dzieła Ruś Czerwona to obszar dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów obejmujący dzisiejszą południowo-wschodnią Polskę z miastami takimi jak Łańcut, Przemyśl, Zamość, Sanok, Hrubieszów, Chełm i inne, oraz dużą część współczesnej zachodniej Ukrainy ze

Lwowem i innymi miastami. Niektórzy historycy utożsamiają ją z dawnymi Grodami Czerwieńskimi. Nie do końca wiadomo, skąd wzięła się nazwa – być może ma związek z symboliką kolorów ludów słowiańskich albo altajsko-tureckich.

Autorem książki jest Władysław Łoziński, którego sylwetkę warto przybliżyć. Urodził się w Oparach niedaleko Lwowa w 1843 roku. Dość wcześnie ujawnił talent pisarski, zaczynając swoją przygodę z piórem od publikowania w galicyjskich pismach. Jego bracia również z powodzeniem próbowali swych sił w pisarstwie. Starszy, Walery, dał się poznać jako wielce obiecujący dziennikarz, redaktor kilku periodyków literackich, a przede wszystkim jako autor powieści cieszących się sporą popularnością – najsłynniejszą z nich jest *Zakłęty dwór*. Walery stracił życie w pojedynku, mając zaledwie dwadzieścia cztery lata. Młodszy brat Władysława Bronisław, prawnik i historyk prawa, pozostawił po sobie książki i artykuły z tej właśnie dziedziny. Jak widać, tradycje literackie w rodzinie Łozińskich były dość mocne, mimo iż ich rodzice inklinacji do pisania chyba nie mieli.

Wpływ na poglądy i twórczość Władysława wywarł spokrewniony z nim przez matkę Karol Szajnocha. Ten pisarz, historyk i działacz niepodległościowy przyjął młodego Łozińskiego na stanowisko swojego sekretarza, co pomogło temu ostatniemu w utrzymaniu się na studiach filozoficznych. Nie będzie chyba nadużyciem stwierdzenie, że posada ta stanowiła swego rodzaju nobilitację, wszak Szajnocha był znanym pisarzem, a jego książki i inne publikacje cieszyły się w tamtym czasie niesłabnącą popularnością.

W 1867 roku, w wieku 24 lat przyszły autor *Prawem i lewem* został redaktorem naczelnym „Dziennika Literackiego”. Początkowo publikował pod pseudonimem, kiedy jednak okazało się, że jego książki podobają się czytelnikom, zaczął podpisywać je własnym nazwiskiem. Sporą popularnością cieszyły się jego *Opowiadania imć pana Wita Nawoja rotmistrza Konnej Gwardii Koronnej* i *Oko proroka, czyli Hanusz Bystry i jego przygody*, doskonale sprawdzał się także jako autor recenzji i opowiadań, publikowanych w rozmaitych czasopismach. Przez dziesięć lat do 1873 roku Władysław pracował jako redaktor naczelny „Gazety Lwowskiej”, by później zaangażować się w pracę naukową. To właśnie wtedy rozpoczął benedyktyńską pracę nad

dwoma pozycjami stanowiącymi jego opus magnum: *Życie polskie w dawnych wiekach* oraz *Prawem i lewem. Obyczaje na Czerwonej Rusi w pierwszej połowie XVII wieku*.

Z czasem Łoziński coraz bardziej angażował się w działalność polityczną. Jego poglądy ewoluowały. Początkowo poruszał się w kręgach niepodległościowych, podobnie jak jego przedwcześnie zmarły tragicznie brat, później – jak napisano w jednej z jego biografii – „zaczął stopniowo przechodzić na pozycje zachowawcze, a co najmniej pojednawcze”. Był posłem do Sejmu Galicyjskiego i Rady Państwa w Wiedniu, ale to jeszcze nie wszystkie pola jego aktywności. Dał się także poznać jako społecznik, działał w różnych gremiach, założył Towarzystwo Historyczne, należał do Komisji Historii Sztuki w Akademii Umiejętności, interesował się zachowaniem zabytków dla potomności, m.in. pracując w zespole Konserwatorów Zabytków Sztuki i Pamiątek Historycznych Galicji Wschodniej. Za swe zasługi był wielokrotnie odznaczany i honorowany, m.in. tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Lwowskiego. Zmarł w maju 1913 roku. Został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Przez znaczną część życia kolekcjonował sztukę, niestety jego zbiory przypadły w roku 1945 – nie udało się ich ewakuować do Polski z ziem zajętych przez Sowieców, podobnie jak części oryginałów jego pism, które dziś znajdują się w Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym Ukrainy we Lwowie.

Tych kilka zdań skreślonych powyżej nie rości sobie prawa do nazwania ich nawet biogramem Władysława Łozińskiego – sygnalizują zaledwie niektóre dziedziny, jakimi się interesował. Większość, a może i wszystkie, krążyły wokół tej jednej, może najpiękniejszej – historii.

Łoziński bywa nazywany historykiem Rzeczypospolitej szlacheckiej lub Polski szlacheckiej. Obie te nazwy traktowane są zazwyczaj jako synonimy nazwy tego wielkiego państwa leżącego niegdyś na krańcach cywilizowanego świata – Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Nie sposób tego organizmu polityczno-społecznego, jakim była, traktować inaczej jak swego rodzaju fenomenu czy jak pisano wtedy „dziwu” na tle innych państw w XVII- i XVIII-wiecznej Europie. Przybywający do niej cudzoziemcy nie mogli pojąć spraw oczywistych dla tych, którzy ją zamieszkiwali. Czym bowiem było państwo, na czele którego stoi formalnie król, ale jego

władza jest właściwie żadna? Królem mógł zostać... każdy szlachcic, co doskonale komentuje jeden z monologów Onufrego Zagłoby w trzecim tomie *Potopu* Henryka Sienkiewicza. Zazwyczaj ów król nie był dla szlachcica pomazańcem bożym, sprawującym władzę z woli Boga, lecz kimś, czyje działania można było głośno krytykować, nie obawiając się konsekwencji. Szlachta podkreślała z dumą, że w jej kraju panuje demokracja szlachecka, pomijając milczeniem fakt, że za tą postępową nazwą kryje się anarchia i tyrańskie rządy warstwy uprzywilejowanej nad resztą społeczeństwa. Sejm, miejsce gdzie rodziło się w Rzeczypospolitej prawo, był nazywany „żrenicą wolności”. Maria i Władysław Tomkiewiczowie pokusili się o stwierdzenie, że tę żrenicę tak zanieczyszczono, że stała się ropiejącą raną!

Clarum regnum polonorum est coelum nobiloitorum, paradisus Judaeorum, purgatorium plebeiorum et infernus rusticorum (Polska niebem dla szlachty, czyścem dla mieszczan, piekłem dla chłopów i rajem dla Żydów). To powiedzenie anonimowego autorstwa, które datuje się na początek XVII wieku, dość dobrze ilustruje atmosferę polityczną w Rzeczypospolitej szlacheckiej. Upraszczając nieco, można powiedzieć, że szlachecka kasta decydowała o wszystkim i każdą próbę zmiany swoich praw traktowała jak zamach na swoją wolność.

Rozwijanie opowieści o meandrach ustroju Rzeczypospolitej nie jest celem niniejszego wstępu — napisano o tym tony książek i podręczników akademickich. Warto jednak zastanowić się, dlaczego wymiar sprawiedliwości był dziurawy jak sito, i podobnie jak inne elementy ustroju faworyzujące jedną grupę społeczną. To, jakiemu podlegało się sądowi i jakiej karze, zależało od miejsca zajmowanego na drabinie społecznej — za to samo przewinienie, w zależności od tego, kim się było, groziły inne konsekwencje.

Kompetencje sądów były nieostre. Doskonale przedstawiła to Maria Bogucka w *Staropolskich obyczajach w XVI-XVII wieku*, wspominając o sądach miejskich, ławniczych, sądzących wedle praw miejskich: magdeburskiego lub chełmińskiego. Chłopów sądził dziedzic, on także zatwierdzał wyroki we wsiach, gdzie zachowały się dawne sądy wiejskie złożone z przedstawicieli gromady. Żołnierze podlegali sądom hetmana, duchownych sądziły sądy duchowne, którym w XVI wieku odebrano jurysdykcję nad szlachtą, zaś na królewskim dworze sądził marszałek wielki. W niespokojnych i niebezpiecznych

czasach bezkrólewia powoływano tzw. sądy kapturowe – specjalne sądy karne, które miały zapewniać wymiar sprawiedliwości. Warto także wspomnieć, że w wielonarodowym organizmie, jakim była ówczesna Rzeczypospolita, odrębnemu sądownictwu podlegały mniejszości, m.in. Żydzi i Ormianie. Cóż można do tego dodać?

Powiedzieć, że w instytucjach prawa w Rzeczypospolitej panował chaos, że stosunki sądownicze były skomplikowane, a wymiar sprawiedliwości wcale nie był sprawiedliwy, bo w zależności od pozycji społecznej tego, komu miał służyć, przybierał inne oblicze – to za mało. Już Mikołaj Rej pisał: „Sprawiedliwość naszą zowią pajęczą siecią, którą bąk przebiję, a nędzna mucha, upłótszy się, uwikławszy się, utraciwszy wszystko, nie doczekawszy się żadnej pociechy w upadku swoim, idzie z kijem, bęcząc, do domu, ręce załomiwszy”.

Tym bakiem była bez wątpienia szlachta, która – zaopatrzona w hojnie rozdawane przez królów przywileje – potrafiła się przebić przez wspomnianą pajęczynę prawa. Młyny prawne zaś meły w Rzeczypospolitej niezwykle powoli, opieszale i nieskutecznie. Zapewne dlatego wielu brało sprawiedliwość we własne ręce.

Skuteczne funkcjonowanie prawa, a może lepiej powiedzieć wymiaru sprawiedliwości na danym obszarze, zależało w znacznym stopniu od tego, jak mocno zaangażowany w tę działalność był urzędnik, któremu ta działalność podlegała, czyli starosta. Reprezentował on władzę wykonawczą, nadzorował władzę sądową i taką, którą dziś można nazwać policyjną. Dysponował bogatym arsenałem środków przydatnych do realizacji swych zadań, niestety bardzo często traktował swój urząd głównie jako dodatkowe źródło dochodów. Do powszechnych praktyk należało wykorzystywanie tego stanowiska do prywatnych, partykularnych celów, choćby do tego, by pognębić osobistych wrogów. Właściwie regułą było, że starosta zrzucał większość obowiązków urzędowych na podstarościego, a ten – wyposażony w starościńskie prerogatywy – wypełniał jego zadania. Przy okazji warto nadmienić, że starostwo przynosiło uposażonemu całkiem niezłe dochody.

Niemniej ważną osobistością istotną dla funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości był niejaki woźny. O ile urząd starosty zazwyczaj cieszył się szacunkiem i poważaniem, o tyle bycie woźnym wymagało od sprawującego ten urząd wiedzy, samozaparcia i sprytu. Zadaniem woźnego było bowiem m.in.

dostarczanie pozwów, bez czego nie mógł zacząć się żaden proces. Osiadły szlachcic musiał go dostać na piśmie, zaś pochodzącemu z gołoty wystarczyło, że go usłyszał. Dostarczenie pozwu bywało nie lada sztuką, w dodatku obarczoną ryzykiem – woźny narażał się na gniew pozwanego, co w przypadku bardziej krewkich osobników mogło dla doręczyciela oznaczać nawet utratę życia. Nierzadką praktyką było zmuszanie woźnego do... zjedzenia pozwu pod czujnym okiem pozwanego i jego straży przybocznej, czy raczej należałoby napisać: najemnych zbirów, którymi się otaczał.

Procedury procesowo-sądowe były niejasne i zawile. Obie strony na wstępie dokonywały serii oświadczeń (indukty i repliki), po czym następowało tzw. zagruntowanie wyroku. Sędziowie podejmowali decyzję w sprawię (wyrok stanowczy) większością głosów, po czym wyrok był zapisywany w sentencjonariuszu, a następnie ogłaszany. Od wyroku przysługiwała apelacja.

W czasie procesu starano się doprowadzić do przyznania się do winy, co uważano za najlepszy dowód w sprawie, stosownie do łacińskiej paremii *confessio est regina probationum*. Bywało, że podczas procesu stosowano tortury, a wbrew powszechnemu mniemaniu, nie odbywało się to w sposób przypadkowy i miało przypisany określony rytm. Zanim przystąpiono do interogacji, podsądny był informowany, że w swoim własnym interesie powinien się przyznać i powiedzieć prawdę. Kiedy nadal zaprzeczał, zabierano go do ratusza i tam tzw. mistrz małodobry, czyli po prostu kat, prezentował mu narzędzia i wyjaśniał, jak działają. Jeśli i to nie zrobiło na zainteresowanym wrażenia, rozbierano go i w obecności sądu rozpoczynano tortury. Były narzędziem dość skutecznym i koniec końców mało kto pozostawał wobec nich obojętny, aczkolwiek zdarzało się, że torturowany uparcie odmawiał przyznania się do winy, a wtedy... Wtedy był wypuszczany jako niewinny uwolniony od wszelkich zarzutów. Szlachtę także poddawano torturom, jednak tylko w kwalifikowanych sprawach. Wobec nobilitowanych środków ten stosowano w przypadku oskarżeń o obrazę majestatu, zdradę i łotrostwo.

Sprawy kryminalne rozstrzygały sądy grodzkie w pierwszej instancji. Apelacje początkowo należały do kompetencji króla, jednak pod koniec XVI stulecia, kiedy zostały utworzone trybunały: Koronny w Piotrkowie i Lublinie oraz Litewski w Wilnie, szlachta uzyskała całkowity wpływ na sądownictwo.

Wymiar sprawiedliwości w Rzeczypospolitej z czasem stawał się coraz bardziej niewydolny, by pod koniec XVII wieku osiągnąć etap nazywany przez historyków prawa powszechnym stanem prywatnego egzekwowania praw. Wpływ na powyższe miały nie tylko stosunki społeczne w kraju (uprzywilejowanie szlachty,) ale także kolejne klęski wojenne, które nie sprzyjały umacnianiu się administracji i prawa. Wtedy też coraz bardziej rosła w siłę magnateria, która zdobywała przemożny wpływ na kierowanie państwem przy coraz większym ograniczaniu roli króla i sejmu.

Czy można się więc dziwić, że prawo w Rzeczypospolitej było tak słabe i niewydolne? Czy nie wydaje się oczywistym, że mimo istnienia przepisów i norm prawa, urzędnicy nie mogli go wyegzekwować? Życie nie znosi próżni, a ludzie, mając świadomość bezkarności, po prostu nie traktowali prawa poważnie.

Sięgając po książkę Władysława Łozińskiego, trzeba pamiętać, że została ona napisana ponad sto lat temu. Pierwsze wydanie ujrzało światło dzienne w 1903 roku, a za życia autora, do roku 1913 pojawiły się trzy kolejne. Publikacja zdobyła szturmem czytelników (i do dziś cieszy się niesłabnącą popularnością), ale też stała się obiektem krytyki różnych środowisk. Zarzucano autorowi jednostronność obrazu, co rozumiano jako niezgodność z rzeczywistością historyczną. Pytano wręcz, czy akta sądowe będące głównym materiałem źródłowym zawierają prawdę. Przywoływano argument, że materiał źródłowy, na którym oparł się Łoziński, jest wybiórczy i jako taki nie może być traktowany komplementarnie. Dziś ten zarzut został już oddalony. Autor nie stara się czytelnikowi narzucić uogólnień, lecz uwzględnia specyfikę obszaru, który opisuje. Kazimierz Piwarski we wstępie do wydania piątego stwierdził, że „nie wydaje się, aby w innych województwach, z niewielkimi wyjątkami, miało się dziać zasadniczo inaczej, aby (...) zarysowane na podstawie archiwalnej przez autora obrazy miały dotyczyć tylko jednej prowincji”. Jacek Komuda, współczesny pisarz historyczny, znawca realiów Rzeczypospolitej szlacheckiej, twierdzi, że Władysław Łoziński, opisując zbrodnie na ziemiach Rzeczypospolitej, nie przepuszcza ich przez „krytyczny aparat statystyki”, w efekcie czytelnik może odnieść wrażenie, że Ruś Czerwoną zamieszkiwali w większości zwyrodnialcy, mordercy, bandyci i pospolici rzemieślnicy. Jak było naprawdę? No cóż, bardzo często, oceniając przeszłość wpadamy

w pułapkę prezentyzmu, a przecież nie można jej oceniać z dzisiejszej perspektywy. Zarówno życie, jak i ludzie, których dotyczy książka, byli zupełnie inni niż my, jak przytomnie konstatuje Komuda. Żyli w innych okolicznościach, w czasach wiecznego zagrożenia, zmuszeni do podejmowania decyzji, które dziś wydają się nam irracjonalne.

Jeden z recenzentów stwierdził, że Łoziński pominął całkowicie tło polityczne i religijne wśród magnaterii polskiej, jak gdyby konflikty rodzinne i rodowe nie miały nic wspólnego z tarciami stronnictw politycznych i wyznaniowych. Tenże recenzent (A. Szelągowski) nie zauważa natomiast, że Łoziński nie daje się uwieść urokowi zwycięstw sukcesów oręża polskiego, zauważając ich ciemniejszą stronę. Dość zasadniczo wypowiada się choćby o dymitriadach, twierdząc, że wróciły „falą klęsk i nieszczęść”.

Na forach historycznych przy okazji omawiania dzieł, które zostały wydane już dawno, można czasem przeczytać — formułowane zwłaszcza przez młodszych pasjonatów historii — definitywne stwierdzenia typu: „książka dobra, ale stara...”. Takie podejście świadczy o braku doświadczenia, żeby nie powiedzieć warsztatu historyka. *Prawem i lewem...* powstało dawno, to prawda, jednak na solidnej bazie źródłowej. Błyszczą informacją, stylem i językiem. Tym bardziej warte jest czasu poświęconego lekturze, iż część źródeł na podstawie których powstał ów doskonały wycinek polskiej historii albo już nie istnieje, albo są dla polskich historyków trudno dostępne.

Pozostaje zanurzyć się w barwnym i fascynującym świecie XVII-wiecznych opryszków i rzezimieszków, dumnych magnatów i romantycznych miłości. Tym bardziej miło, że możemy je śledzić z perspektywy kilku wieków, siedząc w wygodnym fotelu przy filiżance gorącej kawy.

NOTA

WYDAWNICZA

Za życia autora wyszły drukiem trzy wydania *Prawem i lewem*. Podstawą niniejszej publikacji jest wydanie IV, które ukazało się w 1931 roku, a zatem blisko 20 lat po śmierci Władysława Łozińskiego. Przedmowę autora do wydania III oraz notę wydawcy do wydania IV zamieszczamy na kolejnych stronach, by czytelnik mógł się zorientować, jakie zmiany wraz z kolejnymi wydaniem następowwały w stosunku do wydania I, które ukazało się w 1903 roku we Lwowie.

Tekst niniejszego wydania został zredagowany bez skrótów, z zachowaniem wszystkich przypisów źródłowych. Zdecydowaliśmy się na przetłumaczenie terminów, wyrażeń i zwrotów obcojęzycznych, w większości łacińskich, które dla wygody Czytelnika zamieszczamy w tekście w nawiasach kwadratowych, bezpośrednio po danym zwrocie, wyrażeniu czy zdaniu. Ingerencję w warstwę językową ograniczyliśmy do koniecznego minimum, co sprowadziło się głównie do uwspółcześnienia ortografii i interpunkcji zgodnie ze współcześnie obowiązującymi zasadami pisowni. Pozostawiliśmy dawną składnię oraz wyrażenia, które dziś brzmią już archaicznie. Dzięki temu tekst Władysława Łozińskiego zachował swe niezaprzeczalne walory: piękny, potoczny język i gawędziarski charakter.

PRZEDMOWA

DO WYDANIA III

I IV

Materiał wyłącznie archiwalny, który posłużył do nakreślenia obrazu, a raczej szeregu szkiców obyczajowych zawartych w tej książce, obejmuje Akta grodzkie ziemi lwowskiej (z żydaczowską), halickiej (z trembowelską), przemyskiej i sanockiej, a więc całego województwa ruskiego z wyłączeniem ksiąg ziemi chełmskiej, które nie były autorowi przystępne, a poczynając od ostatnich dwudziestu lat XVI sięga aż do połowy XVII wieku, posuwając się tylko wyjątkowo w czas późniejszy.

Luki, jakie by w tym obrazie życia całej jednej dzielnicy Polski uderzyć mogły czytelnika, niech usprawiedliwi uwaga, że praca niniejsza nie rości sobie pretensji do monograficznej niejako dokładności, że jest raczej streszczeniem zawartości obyczajowej wspomnianych u góry aktów i że traktuje społeczne życie w potrójnym ograniczeniu: czasu, miejsca i źródła.

Już drugie wydanie różniło się znacznie od pierwszego tak zasobem treści, jak i jej układem. Pierwszą zwłaszcza część książki autor nie tylko przerobił, ale i w dwójnasób prawie pomnożył; rozdziały bowiem, które

w pierwszym wydaniu obejmowały razem wzięte mało co więcej nad 200 stronic, złożyły się w drugim na tom osobny o 400 przeszło stronicach, a również w tomie drugim znalazł czytelnik liczne uzupełnienia pierwotnej treści. Tłumaczyło się to przyrostem materiału, wynikłym z rozszerzenia granic chronologicznych opowiadania, które w pierwszym wydaniu zamykało się z panowaniem Zygmunta III w drugim zaś dopiero na roku 1650.

Ale i niniejsze trzecie wydanie nie jest prostym przedrukiem drugiego, autor bowiem — w pierwszym zwłaszcza tomie — przesunął dalej granice chronologiczne swej pracy, tam przede wszystkim, gdzie w drugim wydaniu opowieść jakichś wypadków, przebieg jakiegoś społecznego zjawiska, historia jakiegoś rodu, urywały się w samym toku, nie dobiegając do swego ostatecznego epilogu.

We Lwowie, w lipcu 1911 roku

Niniejsze wydanie czwarte, które ma ponownie udostępnić Czytelnikom wiązaną barwnych, obyczajowych i pod względem historycznym zawsze trwałych szkiców śp. Władysława Łozińskiego, jest wiernym powtórzeniem ostatniego, jeszcze pod okiem autora rozszerzonego i poprawionego wydania trzeciego.

We Lwowie, w grudniu 1930 roku

TOM I

CZASY I LUDZIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NIEDOSTATKI PRAWA

Co za świat, co za świat! Groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy. Świat bez władzy, bez rządu, bez ładu i bez miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna.

Takie jest pierwsze wrażenie, które się odnosi z czytania aktów grodzkich województwa ruskiego w pierwszej połowie XVII wieku. Wrażenie odpychające, naprawdę bolesne. Uciec się chce z tego świata, od tych czasów i od tych ludzi, zostawić te księgi w pyłe, tę przeszłość w zapomnieniu. Ale ten moment krytyczny jest rzeczywiście tylko momentem. Przewyciężyć go łatwo — daleko trudniej byłoby przerwać czytanie. Zaczyna się oswajać z tym światem, poznawać tych ludzi, żyć z nimi poufnie, rozumieć te stosunki, a zrozumiawszy, wiele przebaczyć.

Historia polityczna, trzymająca się „wielkiego światła i szerokiego gościńca”¹, jak to pięknie powiedział Strykowski, ogarnia dalekie horyzonty, ale oddaje wyraziście tylko pierwsze plany epok i wypadków. W aktach widzimy to, czego tam nie widać, widzimy drugi i trzeci plan dziejowego obrazu. Zbliżają one dziwnie stulecia, czasem aż w niebezpiecznym stopniu, bo stają się niekiedy z lunety mikroskopem. Synteza wielkiej historii rozbija się w tych aktach znowu w życie, w ruch, w zjawiska, w pierwiastki, w przykłady, dokumenty; w kółka, ogniwka i sprężynki całego warsztatu ewolucji społecznej. Nikt z tych aktów nie złoży historii narodu, ale gdy je poznamy wszystkie, złożyć się z nich może historia naturalna Polaka.

Ale pierwsze wrażenie nie tylko, że przykre, ale co równie zniechęca: niejasne, bałamutne, prawie chaotyczne. Stoi się jak gdyby przed stosem drobnych kamyczków rozpryśniętych z tego, co było mozaikowym obrazem,

jakby przed rozsypanym mechanizmem zegara, którego niepodobna tak złożyć, aby wskazywał i wydzwaniał godziny. Trzeba się dopiero uczyć tego życia na nim samym – zadanie tym trudniejsze, że tzw. nauki pomocnicze w literaturze naszej historycznej bardzo niedostatecznie były uprawiane i że przede wszystkim brak jest dotkliwy prac, które by traktowały prawo polskie, ten główny klucz do zorientowania się w dawnym życiu naszym, w jego praktycznej, niejako aktualnej relacji nie tylko z organizacją i czynnością instytucji publicznych, ale także z codziennymi sprawami i zwyczajami społeczeństwa.

Po takim oswojeniu się ze światem, od którego dzielą nas trzy wieki, zaczyna łagodnieć pierwsze wrażenie. Powiadamy sobie, że przecież nie cały świat jest w tych aktach, że nie wszystkie objawy życia w nich się zawarły, że to są przeważnie akta prawne i sporne, protestacje i pozwy, obdukcje, wizje itp., a więc materiał obyczajowy pośredni, jednostronny, a o ile jest procesowej natury, nie zawsze i nie we wszystkim wiarygodny. Pocieszamy się dalej spostrzeżeniem, że nie wszystko, co tam czytamy, stało się istotnie, że wobec zasady: *acta nemini denegantur* [dosł.: akta niczego nie odrzucają; papier wszystko przyjmie], przyjmowano do ksiąg bez kontroli i krytyki urzędowej wszystko, co się komu podobało wnieść do nich: rekognicje bajek, manifestacje o zmyślonych wypadkach, wybryki satyryczne, paszkwile, oskarżenia podyktowane złością tylko i imaginacją. Pocieszamy się doświadczeniem, którego rychło się nabywa, że w protestacjach o gwałty, o zajazdy i zabójstwa bywa najczęściej wielka przesada i że trzeba zawsze czekać, czy reprotestacje, pozwy, skrutynia, a w końcu wyrok, a gdy i ten nie wystarcza, jeśli zaocznie wydany, czy sam fakt odbycia kary lub przejednania strony potwierdzą zarzut jakiejś zbrodni, i że często takiego potwierdzenia nie ma. Bierzymy na uwagę, że poza tymi ludźmi, co się zaciekle pieniali, zajeżdżali zbrojno sąsiadów, srożyli się nad słabszymi, rozbijali i zabijali, istniała przecież większość spokojna, pocziwa, szanująca prawa boskie i ludzkie. Przychodzimy do przekonania, że przy niepojętych nam dziś brakach prawodawstwa i jeszcze trudniejszym do pojęcia niedostatku władz wykonawczych i policyjnych, trzeba było idealnych ludzi, aby było lepiej, niż bywało; a w końcu pocieszamy się

faktem, że równocześnie we wszystkich sąsiednich krajach działo się nie o wiele lepiej, jeśli nie równie źle albo jeszcze gorzej niżli w Polsce.

Ale nie bójmy się cieni na obrazie przeszłości. Nie zgaszą one światła, a dadzą wypukłość. Wygląda to na paradoks, a przecież tak jest: miarą wysokich przymiotów polskiego społeczeństwa są jego przywary. Miarą jego żywotności jest jego anarchia. Miarą jego światła są jego cienie. Bo gdzie drugi naród, co by tak, jak Polska, bez rządu był potężnym państwem, bez stałego żołnierza odnosił wielkie zwycięstwa, bez wewnętrznej zgody zdobywał się na taką jedność w patriotyzmie? *Sarmatorum virtus veluti extra ipsos* [Cnota Sarmatów (jest) jakby poza nimi]. Cnota Polaków poza Polakami. Patrząc z osobna i z bliska na pewne epoki i objawy przeszłości, zda się nam, że to prawda, że nie ma w nich ani światła, ani chwały. Obejmując jednak całe horyzonty wieków, widzimy, że jest i światło, i chwała. Jest jakby poza Polakami, a przecie z nich, od nich i przez nich, jest w rasowym geniuszu, w zbiorowej duszy, w dziejowej emanacji narodu.

I

Laudatores temporis acti. Kłątwa bezkarności. Brak władzy wykonawczej. Prawne wybiegi. *Salvus conductus.* Starościńskie egzekucje. *Mota nobilitas.* Kary kompromisowe. Wieża. Banicja i infamia. Labirynt procesowy. Intromisje. Woźny.

Odwoływanie się do dawnych, „lepszyc” czasów jest tęsknotą do ideału cofniętego w przeszłość. Jak pragniemy, aby było, tak nam się zdaje, że nigdyś było. Gdyby się opierać przyszło na samych głosach laudatorów *temporis acti* [piewców przeszłości], dla których zawsze minione czasy były złotym wiekiem prawości i cnoty, trudno by było oznaczyć porę, w której zaczęła się anarchia społeczna w Polsce; posuwać by trzeba początek skażenia obyczajów ciągle naprzód, albo jak kto chce, cofać epokę cnoty ciągle w tył, choćby do Piasta. Aby nie bardzo wychodzić poza chronologiczne ramy, w które ujęliśmy tę pracę, wspomnimy tylko, że dla chwalców przeszłości z pierwszych lat XVII wieku taką błogosławioną porą społecznej cnoty były jeszcze ostatnie lata Zygmunta Augusta, a nawet tak niedawny a krótki okres Batorego. Wszystko złe było dopiero dzisiejsze, co najwyżej wczorajsze. Ale pominąwszy już głosy pisarzy naszych z najlepszej pory zygmunto-wskiej, nie brakło przecież innych świadectw, aby najuporniejszych wielbicieli minionego czasu przekonać, że to popsucie społecznego ładu, to zdziczenie obyczajów, jakie oplakują we współczesnym sobie pokoleniu, było niestety w bardzo znacznej mierze spadkiem tej błogiej na pozór przeszłości, kławą niejako dziedziczną, i nie urosło z samego usposobienia współczesnego społeczeństwa, ale miało swój zawiązek w odległych wiekiem przyczynach, że było tylko pogorszeniem jednej i tej samej choroby, nurtującej w organizmie polskim, a w miarę rozwoju swego wybuchającej coraz to ostrzejszymi symptomatami.

Jeżeli w pierwszych zaraz latach panowania Zygmunta III przyszło do „zapalenia wszystkiej przemyskiej ziemi”, która nas w tej pracy także specjalnie obchodzi, to był to już dalszy tylko a coraz gorszy skutek oplakanych, anarchicznych

obyczajów w tej części Polski, jakie nam tak żywo skreślił Orzechowski w swoim liście do Jakuba Przyłuskiego², była to już spuścizna czasów Zygmunta Augusta, który wszystko, na co się skarżył Orzechowski, stwierdza w mandacie swoim do przemyskiego starosty, gdzie czytamy, że z powodu bezkarności i niewykonywania dekretów wzrosła tak straszliwie zuchwałość mężobójców, że w przemyskiej ziemi „już nikt nie jest pewny życia”³. Kto w tych czasach, o których mówimy, tęsknił do stosunków niedawnej pory Batorego, ten zapominał, że już Zygmunt August odumarł kraj w takim upadku instytucji publicznych, że „została się tylko sama forma prawa, z której nikt nie miał korzyści, wyjąwszy rzeczników, woźnych i pisarzy, że niespełniane były wcale wyroki, a zbrodniom prywatnym nie było miary i granicy”⁴, zapominał, że już właśnie sam Batory wkrótce po objęciu rządów w uniwersale swoim do szlachty wypowiedział straszne zaprawdę słowa: „Nierząd wszystkie obyczaje psuje, na których miejsce nastąpiły srogie zbrodnie, mężobójstwa, gwałty, łupieństwa, mordy, z rusznic zabijania, wszeteczeństwo, krzywoprzysięstwo, zbytki, utraty i innych wiele szkaradnych występków”⁵.

Co za regestr! Co za werdykt na społeczeństwo, wydany przez człowieka, który widział może tym lepiej, że nie był jego synem i patrzył nań obcym okiem a z wyżyn naczelnego stanowiska. Niestety, w sądzie tym nie było tak wiele przesady, chociaż go dosłownie nikt nie weźmie. Tak było po części, a że tak być mogło, a nawet być musiało, temu główną przyczyną to wielkie nieszczęście społeczeństwa polskiego, ciężka klątwa przeszłości: bezkarność. Nie brak prawa zgubił obyczaje, ale brak władzy, nie brak sankcji karnych, ale brak ich wykonania. Wiemy, że prawa były dorywcze, niedostateczne, niestanowcze, niejasne i pełne niekonsekwencji, ale to było mniejsze złe, stokroć gorszym było to, że były bezsilne, że istniejąc, a nie działając, już samym tym martwym swoim istnieniem robiły niekiedy więcej szkody, niż gdyby ich wcale nie było, niż gdyby bieg spraw społecznych pozostawiony był samym instynktom moralnym ludzi, przyrodzonemu ich sumieniu i wyrabiającym się ze społecznej konieczności zwyczajom. Bo przychodziło do tego, że kto chciał, aby prawo było wykonane, sam je wykonywać musiał, a wtedy nie mogło być inaczej, jak tylko, że prawa stawały się pozorem, legalnym tytułem występków, narzędziem gwałtu, środkiem przemocy, sankcją samowoli.

Dwa kardynalne warunki społecznego bytu: bezpieczeństwo życia i bezpieczeństwo mienia były zachwiane; ani jedno, ani drugie nie miało dostatecznej opieki. Zabijano otwarcie i skrycie, po domach, po drogach i rynkach miejskich, na sejmikach, zjazdach, bankietach, a nawet i sądach, zabijano o co bądź, a zabijano bezkarnie. „O ziemia nasza, jakoś wiele krwi w się nabrała! – woła z boleścią Skarga – jako z niej wiele głosów Ablowych puszcza się o pomstę wołających!”⁶.

Górnicki pamiętał „jednego, którego mianować nie chce, który za króla Zygmunta Starego dwadzieścia głów zabił i umarł swą śmiercią, a do żadnej mu karności nie przyszło”⁷ – cóż by dopiero powiedział, patrząc na to, co się działo w województwie ruskim w czasach Zygmunta III, a osobliwie w ziemi halickiej i przemyskiej! Są lata, w których akta tych ziem jakby ociekały krwią; co trzecia prawie stronica zapisuje prezentację trupa (*praesentatio cadaveris*) lub obwołanie głowy (*prodamatio capitis*), co druga uderza nagłówkiem: *A. vulneratus* [zraniony], *B. saucius* [skaleczony], *C. laesus* [uszkodzony], *D. concussus* [wstrząśnięty, uderzony].

A przecież istniały prawa przeciw męzobójcom. Były one bardzo łagodne, bo nikt prawie prócz chłopca nie dawał głowy za głowę, nie płacił życiem za życie, ale gdyby i ta sankcja karna, jakkolwiek nie stała w sprawiedliwym stosunku do ciężkości winy, była bezwzględnie i zawsze wykonywana, zabójstwa niewątpliwie byłyby w Polsce bardzo rzadkie. Tymczasem bywały pory, zwłaszcza w pierwszej połowie panowania Zygmunta III, w których trzeba było szczególnego nieszczęścia lub wielkiej osobistej pokory, aby ulec karze w rzeczywistym jej rygorze. Przypomnijmy sobie w zwięzłym streszczeniu najważniejsze szczegóły karnego prawodawstwa w Polsce. Szlachcic, który zabił szlachcica bronią sieczną lub obuchową, podlegał pierwotnie karze siedzenia na dnie wieży przez rok i sześć tygodni i musiał zapłacić za głowę zabitego 120 grzywien; konstytucja z 1588 roku podwoiła tylko sumę główszczyzny, nie podnosząc kary więziennej. Szlachcic, który zabił szlachcica z broni palnej, podlegał według tejże samej konstytucji karze podwójnej: siedzieć miał *in fundo* [w lochu] dwa lata i dwanaście tygodni i zapłacić za głowę zabitego 480 grzywien. Krewni zabitego mieli obowiązek ścigać prawem zabójcę, mieli najdalej do dwunastu niedziel wnieść w grodzie

protestację, czyli obwiedzenie głowy; kto by się od tego uchylił i najdalej do roku o zbrodnię nie pozywał w tym celu, aby głównik, tj. zabójca, uszedł bezkarnie, miał ponieść taką samą karę, jak gdyby sam dopuścił się zabójstwa; jednać się tedy z zabójcą prawo wzbraniało surowo. Gdyby zabity nie miał krewnych, konwikcję głowy przeprowadzić ma sam urząd grodzki.

Kto zajedzie dom i gwałtu się dopuści, traci majątność swoją i pocziwość *ipso iure et facto* [z mocy prawa i czynu]. Szlachcic, który szlachcica gwałtem pojmał, ma być karan winą 120 grzywien i jednym rokiem więzy *pro poena publica* [na karę publiczną], a nadto ma tyle troje siedzieć, jak długo w więzieniu trzymał. Rusznic nie wolno zażywać na sądach, zjazdach i biesiadach, a kto by kogo na tych miejscach zabił lub ranił z rusznicy, ten nie tylko za zabitego główsszczyznę, a rannemu nawiązkę płacić ma, ale *ipso facto* [za ten czyn] gardłem karan być ma *et poena infamiae* [i karą infamii/niesławy]⁸. Rany zadane szlachcicowi opłacają się według osobno uchwalonej taryfy⁹. Niepoddanie się dekretem sądów królewskich i trybunałskich, nieodsiedzenie więzy, nieopłacenie główsszczyzny itp., w ogóle nieuczynienie zadość prawu pospolitemu i jego sankcjom karnym pociąga za sobą najwyższą karę, jaką rozporządza sprawiedliwość: wywołanie i infamię.

Oto w krótkości wszystko, co miało strzec życia, zdrowia i wolności osobistej. Mało tego, ale jak powiedzieliśmy, i to, gdyby było surowo i ściśle przestrzegane, byłoby wystarczyło do zapobieżenia występkom, bo Włoch Górnickiego ma zupełną rację, kiedy powiada: „Gdyby ustawicznie sądzono kryminały, maluczko by tu było zbrodni, bo natury wasze polskie dobre są, karne, łaskawe, dobrotliwe”¹⁰. Niestety, kryminałów ustawicznie nie sądzono. Sprawy cywilne szły do trybunału, sprawy wybitnie kryminalne na sądy królewskie, czyli sejmowe. Sejm zwoływany był raz co dwa lata i trwać miał sześć tygodni, a i w tych odstępach czasu często nie dochodził, jakżeż można było myśleć, aby wszystkie sprawy kryminalne, nagromadzone przez dwa lata, mogły być osądzone w tak krótkim czasie i to przy nawale spraw sejmowych? „Sprawiedliwości nie masz; przez sejm cały, ledwie osądzim ze dwa kryminały”¹¹ – powiada poeta Grochowski, a Górnicki, ten najdowcipniejszy i najbystrzejszy krytyk instytucji polskich, tak przedstawia praktyczne następstwa tego urzędowania: „Najedzie kto kogo na dom wnet po sejmie i zabije. Naprzód to wygrał, iż ma frysztu dwie

lecie, a tymczasem zabije już i drugiego, i trzeciego, i dziesiątego, a może tak długo bić, aż go samego zabiją. Tu obacz, że wszyscy, które ten mężobójca po owym pierwszym mężobójstwie pobił, byliby byli żywi, by ten był zbrodzień po pierwszym mężobójstwie pozywan i skarany”. „Przez siedemnaście sejmów za szczęśliwego panowania króla naszego – woła Skarga – ledwie kilaś o najazdy i o zabijanie, i o krew skarano, a mężobójców i krwie wylewców, i najezdników sąsiad bez liczby się w oczach wszystkich urzędów włóczy¹²”. Za tym poszło, że o sprawy stanowczo kryminalne, jak np. zajazdy połączone z gwałtami i zabójstwami, nie pozywano *criminaliter* [w sprawach karnych], ale *civiliter* [w sprawach cywilnych], aby tym sposobem rzecz przyspieszyć i przecieć doczekać się nareszcie wyroku.

Ale gdyby nawet sądy odbywały się i częściej, i dłużej, gdyby nawet były czynne stale, szybkiemu wymiarowi sprawiedliwości stanęłaby na zawadzie owa nietykalna zasada, palladium i smutna chluba szlacheckiej wolności: *Neminem captivabimus nisi iure victum* [Nikogo nie uwięzimy bez sądowego wyroku], która nie pozwalała pojmać osiadłego szlachcica nawet po spełnieniu najoczywistszej zbrodni, chyba na gorącym uczynku, *in recenti* [+ *crimine*, dosł.: na ostatnim przestępstwie, czyli na gorącym uczynku], co się bardzo rzadko zdarzało, zwłaszcza gdy gwałtownikiem był możniejszy szlachcic, otoczony zawsze zgrają zbrojnej czeladzi, i co zresztą w razie możliwości takiego pojmowania było rzeczą o tyle utrudnioną, że starostowie przyjmowali do więzienia pojmanych prywatnie złoczyńców tylko pod warunkiem, że utrzymywani będą kosztem, wiktem i pod strażą – *cura, custodia et victus* – tego, który ich pojmał i dostawił.

Pojmanie osiadłego szlachcica na gorącym uczynku i odstawienie go do grodu spotykamy też bardzo rzadko w aktach województwa ruskiego, a i w tych rzadkich wypadkach uwięziony nie pada ofiarą „gorącości prawa”, ale najczęściej wyreęczony przez krewnych i przyjaciół opuszcza więzienie, a sprawa bierze w dalszym ciągu zwykły, leniwy i niepewny obrót i nie kończy się mieczem, ale więzłą lub prostym odprzysiężeniem. Jedyne wypadek, w którym szlachcic, pojmany *in recenti* na zabójstwie, daje gardło pod miecz po straszliwie skróconej procedurze, zapisały nam pod rokiem 1596 akta trembowelskie¹³. Ale i tu chodzi o chudopachołka, na którego głowę nastaje możniejszy szlachcic, a cała

rzecz odbywa się tak doraźnie, z takim terroryzmem, z taką mściwą porywczością, z tak stronnictwym odjęciem oskarżonemu środków obrony, że robi wrażenie improwizowanego okrucieństwa i jest tylko krwawym kontrastem owej pospolitej bezkarności, którą nazwaliśmy klątwą czasów. Wypadek ten nie tylko rzadkością swoją, ale i z tego powodu zasługuje na uwagę, że daje nam wyobrażenie, jak wyglądała w praktyce „gorącość prawa”; akta podają nam bowiem całą ostateczną rozprawę, czyli tzw. *actum controversiae* [czynność sporu; przebieg sporu]. Oto wielce charakterystyczny przebieg rzeczy:

Dwaj szlachcice ziemi trembowelskiej, Stanisław Łoboski i Arnulf Chocimirski, toczyli ze sobą proces zacięty i uporczywy. Chodziło o małą sumę, bo zaledwie o 50 zł, ale spór tak się zajątrzył i rozognił, że przyszło do namiętnej osobistej nienawiści. Niestety chcieli, że obaj spotkali się w Kamieńcu; przyszło do czynnego starcia i Chocimirski padł z dłoni Łoboskiego. Krewny Chocimirskiego, Paweł Ciemierzyński, pospieszył mu z pomocą, ale przybył za późno, aby uratować mu życie, pojmał jednak Łoboskiego na miejscu utarczki i odstawił go do grodu. Nastąpił natychmiast sąd na winowajcę. „Naprzód uczynił przemowę p. Ciemierzyński od strony powodowej — czytamy w akcie kontrowersji — uskarżając się żałobliwymi, a na poły popędliwymi słowy na p. Łoboskiego, iżby on miał gwałtownie, umyślnie, nie mając żadnego zajścia i przyczyny do nieboszczyka Chocimirskiego, onego zatracić. Tego doma witając szerokimi słowy swymi, uderzył mową swą, iż do tej niewinności naszego powinnego nie zdobędziem się na instygatora do sprawy, a ten p. Łoboski będzie tak szczęśliwy, iż mu się zarazem także zły, niebaczny człowiek, *fautor et defensor* [protektor i obrońca] jego haniebnego uczynku, znajdzie, i widzę, że go już ma za sobą nagotowanego”.

Ciemierzyńskiemu chodziło o to, aby odstraszyć obrońcę oskarżonego, niejakiego Jana Tchórzewskiego, któremu też, jak się wyraża dalej akt kontrowersji, „z niemającym ubliżeniem sławy jego sromotnymi słowy łajał i groźbami, pełnymi odpowiedzi, oddać mu to obiecywał przed tym urzędem... Zatem jał p. Ciemierzyński prosić o instygatora, aby przydany był na stronę p. Chocimirskiego, o czym były *preces* [wnioski, prośby], aby się p. Zakrzowski tego podjął i przydawał go p. podstarości, lecz on się tego nie chciał podjąć, gdyż po temu czasu swego nie miał”.

Tedy sam p. Ciemierzyński rzekł te słowa: „Ja sam jestem tej sprawy instygator jako przyjaciel i przywiązany krwią opiekun, a tak proponuję na niego, jakom wyżej nadmieniał”. A tamże stojąc oblicznie szlachetny Stanisław Łoboski, będąc zdrowy na ciele i umyśle, sam przez się rzekł:

„Wiem, iż się nieszczęsny *casus* [przypadek] trafił; jestem w ręku i w mocy; nie proszę o więcej, tylko, aby to między mną a między onym było uznano, kto komu do tego przyczynę dał, bowiem gdym był w domu swym, chcąc do obiadu sięść, tamże dwaj słudzy moi przyszli, powiadając mi, że p. Chocimirski z tym umysłem w domu był, pytając o mnie u Pawełkowej wdowy, gdzieś przedtem miał gospodę [tymczasowe mieszkanie], a dowiedziawszy się, gdzieś stał, umyślnie z sługami i wielu inszych przyjaciół do gospody mej przyszedł, i na chłopca mego, który zamykać drzwi poszedł był, naprzód z łuku strzelił, zatem wpadłszy do dworu, sługę mego Watowskiego ranił szkodliwie, i tak bacząc go już dobrze zajązzonego, że się nie dał hamować, musiałem się bronić i jakom mógł, odpór dawałem, i Bóg Wszechmogący niech mi będzie świadkiem, a niech mnie odeśle na męki ogniowe piekielne, bodaj dusza moja w piekle gorzała, iżem mu do tego przyczyny nie dał, anim do niego w dom nachodził. Lecz to, co i jako było, dajam o sobie sprawę, tylko proszę o sprawiedliwy sąd”.

Zabiera teraz głos obrońca oskarżonego, podnosząc, że „i na gorącym prawie trzeba dobrze wysłuchać tę rzecz, a wysłuchawszy i kontrowersję popisawszy tak, iżby już ani ta, ani owa strona nie myliła, ani więcej przytaczała, choć naprędce poteterminować, co kto mówi. Proszę o słuchanie, łaskawy panie urzędzie! *Crimen facti* [czyny przestępcze] obydwu stron na placu stoi; *quod factum actum* [dosł. co się zdarzyło, (to) jest, czyli co się stało, to się nie odstanie], lecz *dubius eventus litis* [niepewny (jest) wynik sporu]. Kto czego nie szuka, ten nie najdzie, a kto czego szuka, ten najdzie. Pan Łoboski, który *onus causae* [ciężar sprawy] na sobie niesie, to przeze mnie mówi: iż to uczynił, broniąc swego żywota; jeśli się okaże z inkwizycji albo z powieści świadków wiele wiarygodnych, że tak jest, jako p. Ciemierzyński mówi, za to *poenas criminales* [kary za zbrodnie]; jeśli się też pokaże, że on w domu swoim spokojen był, tedy ujść ma gorącości prawa. A to i pan Jerzy Zieleniecki w tenże czas będąc postrzelony, da sam

świadeństwo, iż nie p. Łoboski do p. Chocimirskiego, ale p. Chocimirski do p. Łoboskiego szedł, *et ad hanc inquisitionem* [i na tę inkwizycję/śledztwo] zeszlį Wmość wiarygodnego, aby i jego świadeństwo było w jedno zgodzone. *Interim* [w międzyczasie], jakie prawa między obiema stronami były, z tych Wmości trzeba uznawać, który się nie chciał usprawiedliwić. Nieboszczyk p. Chocimirski w młodości swojej chciał mieć i pieniądze, i majątność, dał się pozywać, a na ostatek chciał i wygrozić, mając około siebie przyjaciół dosyć znaczne, co iż to nie tajemne jest, jeszcze sprawa jego w rejestrze *ad terminos querellarum* [do czasu (rozstrzygnięcia) sporu] stoi wpisana nierozparta, a za tą tragedią nie będzie miała końca. A tak proszę posłać do p. Zielenieckiego i do tych, którzy widzieli i słyszeli, iż nie p. Łoboski, ale p. Chocimirski dał przyczynę”.

Sąd grodzki, a jest nim w rzeczy samej tylko sam jeden podstarości Walenty Pliskowski, odrzuca to żądanie oskarżonego, a kiedy jego obrońca czyni ruszenie za dworem, tj. odwołuje się przeciw temu do sądów królewskich, odrzuca i tę apelację, dekretując, że oskarżony ma *directe respondere* [bezpośrednią odpowiedź]. Winowajca, czyli pryncypał, bo to była nazwa używana, protestuje przeciw odjęciu sobie środków obrony i oświadcza, „że gdzieby mu się w tej mierze gwałt miał stać przez prawo, na potem to swoim sukcesorom zachowuje, czynić o to prawem, jako przymuszony do dalszego postępk”. „Nie prze się tego — mówi delikwent — że się stało mężobójstwo, ale z jego przyczyny *in defensione vitae meae* [w obronie życia mego], i to nie wiem, przez którego sługę mego, który jeden z gorącego prawa uszedł. Kto dał przyczynę, Pan Bóg sam wie, a *scrutinium* [postępowanie, śledztwo] to, o które silnie proszę, okaże, a tak biorę sobie na *scrutinium* w tej sprawie do jutra”.

Sąd odrzuca i tę prośbę o jeden dzień delaty celem uzupełnienia śledztwa. Ponawia ją błagalnie Łoboski, mówiąc: „Też wszystkie obrony me wcale sobie zachowuję i do nich się odwołuję, prosząc o dylację na krótki czas do jutra na inkwizycję albo *scrutinium*; do tego, abym wždy żonę i czeladź sporządził; niech gwałtu jako koronny syn w tym nie odnoszę. Uznajcie Wmość panowie z tego *scrutinium*, że być mogę próżen gorącości prawa. Proszę o miłosierdzie, o nieskwapliwość do małego czasu, abym tylko żonę oglądać mógł”.

„Na ostatku p. Tchorzewski (obrońca) jako sfukany groźbami nie małymi, wody wodą próżno mierzyć nie chcąc, rzekł: »Mam wolny umysł mój, czyniąc dosyć tym przemowom ze strony p. Łoboskiego. Tegom nie uczynił za najem, za obietnicę, za przyjaźń, nieprzyjaźń, lecz tylko samego Pana Boga się bojąc, a według miłości bliźniego, którą każdy chrześcijański człowiek powinien okazać do ostatniego stopnia grobu jego. To, co się mówiło, i teraz mówię, to czego się prosiło, i teraz proszę, lecz iż też po sobie dekretu żadnego nie mam, *solenniter obtestor* [oświadczam uroczyście], zaczem chociażbym co najmędrszego mówił do prawa, a *vi et iudicio et potestate illi attributa* [przodkowie tak osąd, jak i siłę (sprawczą) jemu przyznali] – onego samego filozofią nie wydrę. *Deus videat* [Bóg widzi]! Ale to samo na mnie tak zrozumieć przyszło, bym się sam oponował gardło zań stawić, mając takiego instygatora przeciwko sobie, który nie tylko na pryncypale, ale też rad by i na prokuratorze (tj. obrońcy) też winy otrzymał. A urząd u niego w mocy będąc i na jego się *severitatem* [surowość] oglądając, tak już niech skaże, co rozumie. A zatem ostatek milczeniem zbywam«”. Po tym przemówieniu próbuje jeszcze obrońca uratować głowę Łoboskiego, wnosząc, aby sąd pozwolił mu odprzysiąc się samosiedm, tj. z sześciu świadkami, że mężobójstwa tego bezpośrednio nie winien. Wniosek ten sąd odrzuca i feruje wyrok śmierci. Łoboskiego natychmiast ścięto. Wdowa straconego wytacza pozwy podstarościemu, nie dowiadujemy się jednak z aktów, jaki był skutek wytoczonego procesu.

Wyjątkowy to, jak powiedzieliśmy, i osamotniony fakt „gorącości prawa” – w regule nie tylko ukaranie, ale nawet samo tylko uwięzienie winowajcy *in recenti* [tuż po przestępstwie; na gorącym uczynku] było utrudnione i najczęściej całkiem udaremnione, a jeżeli nie odbyło się dosłownie w chwili czynu i na samym czynie, *in manuali facto* [na rękoczynie], narażało na przykrą odpowiedzialność i na ciężkie niekiedy kłopoty podstarościego czy też innego urzędnika grodu. Wymowny tego przykład znajdujemy w aktach sarnockich. W górach tamtejszych pod Hołuczkiem przebywał na ustroniu szlachcic nieosiadły w tej okolicy, niejaki Piotr Ramułt, którego domostwo uchodziło za schronienie rozbójniczym łotrzykom i za schowek zrabowanych przez nich rzeczy. W 1634 roku wracał z jarmarku jarosławskiego

bogaty kupiec z Krotoszyna, Żyd Jeleń, który wioził z sobą 70 000 zł gotówką. Niedaleko Jarosławia, w osławionej karczmie Pod Bukiem, zasadziło się na niego kilku opryszków szlacheckiego pochodzenia, a kiedy Jeleń minął karczmę, opadło go na odludnej drodze i złupiło do nitki. Łotrzykowie ci należeli do bandy, która miała swoją główną kwaterę u wspomnianego Piotra Ramułka pod Hołuczkowem, tam też udali się wprost spod Jarosławia, aby zadeponować swoją bogatą zdobycz. Odtąd już ich oko ludzkie nie oglądało więcej. Chodziła wieść, że chciwość popchnęła gospodarza do zdrady i morderstwa, i że przy pomocy swego pasierba Samuela Kraińskiego i niejakiego Załuszkowskiego skrytobójczo zamordował wszystkich trzech opryszków, a ciała ich pogubił, to jest zakopał czy też utopił. Ale Żyd Jeleń, który uszedł był z życiem z napadu, wysledził złoczyńców aż do Hołuczkowa i udał się do urzędu grodzkiego w Sanoku ze skargą i prośbą o sprawiedliwość. Podstarości sanocki Jan Pieniążek rozwinął tym razem niezwykłą energię, wyruszył z gronem szlachty do Hołuczkowa, pojął Ramułka, okuł i osadził w wieży zamkowej.

Cóż tedy dalej? Oto żona uwięzionego, Beata, zanosi protestację przeciw uwięzieniu męża, opierając się na wyraźnym prawie, że szlachcica osiadłego nie wolno imać i więzić, chyba schwytanego na gorącym uczynku. Ramułek wprawdzie nie posiadał majątku w Sanockiem, ale posiadał coś gdzieś indziej, i nie był schwytany *in recenti*, nie wzięto go na samym uczynku. Beata wytacza sprawę przed trybunał i sama spieszy do Piotrkowa, aby poprzeć ją osobiście. Skutek był rychły i stanowczy. Trybunał orzekł, że urząd grodzki naruszył prawo i nietykalność szlachecką, nakazał Ramułka bezzwłocznie wypuścić z więzienia, skazał podstarościego na karę 120 grzywien i na rok wieży pod rygorem banicji, a Żyda Jelenia za to, że spowodował uwięzienie, na 240 grzywien pod infamią i gardłem. Sama istota czynu, zbrodnia ciężka i oczywista, pozostała na boku, poszła na nieskończenie daleki plan osobnego procesu, Ramułek po dziewięciu tygodniach odzyskał wolność i zupełne bezpieczeństwo swojej osoby aż do przyszłego wątpliwego dekretu, podstarości wyleczył się radykalnie ze swojej niewczesnej energii, a złupiony Jeleń odszedł tym razem dosłownie z kwitkiem, bo z poświadczeniem, że pod groźą miecza zapłacił grzywnę¹⁴.

Dalszą nie mniej zgubną dla publicznego bezpieczeństwa zasadą było: *Nemine instigante reus absolvitur* [Kiedy nikt nie ściga, pozwany jest uniewinniany]. Nie było właściwie władzy, która by ścigała zbrodnie z urzędu, bez względu na to, czy kto prywatny skarży lub nie skarży – ściganie takie było wprost niedozwolone. Do przestępstw politycznej i skarbowej natury był instygator, ale i temu ścigać i pozywać nie było wolno bez delatora. Gdzie nie było delatora, tam nie było pozwu, ścigania, dochodzenia, tam, jakby nie było zbrodni, choć zbrodnia się stała otwarta, oczywista, wszystkim i samej władzy wiadoma, o pomstę wołająca. Przy jednej tylko zbrodni męzobójstwa musiał być delator, oskarżyciel, ale prywatny. Prawo nakładało obowiązek delatorstwa i pozywania zabójcy na krewnych zabitego, jak już wiemy, pod rygorem tej samej kary, jakiej podlegał sam zabójca. Miało to zapobiegać bezkarności, ale akta grodzkie tych czasów, o których piszemy, zawierają niestety dowody, że tak nie było, że umiano obchodzić i to na pozór tak stanowcze i surowe prawo. Bliższy lub dalszy krewny zabitego oskarżał, tj. zanosił protestację w grodzie i wytaczał pozew, czyniąc tym zadość prawu, następnie zaś godził się z zabójcą, brał pieniądze i procesu nie było, bo oskarżyciel nie stawał na terminy, nie domagał się śledztwa, czyli tzw. *scrutinium*, nie prezentował świadków itp., zgoła pozwalał na to, aby rzecz ugrzęzła na zawsze. Jakub Niezabitowski zabija w 1633 roku Gabriela Sadowskiego i jedna się następnie o głowę z bratem zabitego Andrzejem, a ten brat nie godzi się bynajmniej potajemnie, poza oczyma prawa, ze wstydliwą świadomością występku, ale jawnie i otwarcie, bo nie waha się ugody roborować [czyli zatwierdzać urzędowo, prawnie] w grodzie. Dowiadujemy się o tym z protestacji drugiego brata ofiary, Krzysztofa, który pozywa Andrzeja o takie prawem wzbronione, a przecież prawnie roborowane jednanie, i przypuszczamy radzi, że czyni to wiedziony braterskim pietyzmem i obrażonym uczuciem prawa, a nie chęcią udziału w okupie¹⁵.

Mamy w aktach przykłady, że obowiązek delatorstwa w wypadkach zabójstwa służy za sposobność do spekulacji. Najchudszy pacholek, najsamotniejszy na świecie szlachetka, jeżeli go zabił człowiek możny i zapaśny, znajdzie natychmiast krewnych, którzy występują w roli mścicieli przed „prawem”, znajdzie ich w najdalszych stronach Polski, zabity np. na Rusi

we Lwowie znajdzie ich w dalekiej Wielkopolsce, na Mazowszu, na Litwie. Czasami znowu chęć zemsty i osobista nienawiść chwyta się takiej sprawy, krewny jest narzędziem w ręku obcych osób. Stanisław Warszawski, wojewoda mazowiecki, zabił niejaką Magdalenę Kopańską, a matkę jej trzymał samowolnie w więzieniu. Jako delatorowie zbrodni występują dwaj bracia zabitej, Władysław i Stefan Wyleżyńscy. Zapewne wiedzeni nienawiścią, chęcią zemsty lub inną jaką osobistą pobudką – akta nie dają pod tym względem wskazówki do domysłów – dwaj książęta Wiśniowieccy, Konstanty, starosta czerkawski, i syn jego, Janusz, koniuszy koronny, chwytają się tej sprawy i zawierają formalną intercyzę z Wyleżyńskimi, którzy „z pewnych respektów z panem wojewodą (Warszewskim) bez woli i osobliwego konsensu książąt Wiśniowieckich przystępować ani się jednać nie mają, owszem, doznawszy wielkiego dobrodziejstwa książąt Ich Mości, pozwalają tak, jako się będzie zdawało najlepiej na stronę książąt Ich Mości, z p. wojewodą jednać, czemu kontradykować nie mają, owszem *pro rato et grato* [dla pewności i wynagrodzenia] przyjąć i do tego ostatniego stopnia prawnego wedle woli książąt obydwóch popierać pod zakładem 100 000 polskich grzywien”. Wyleżyńscy nie dotrzymują intercyzy, godzą się z Warszawskim, a Wiśniowieccy nie sami, ale przez podstawionego delatora pozywają ich o to i domagają się, aby obaj bracia za niedozwolone jednanie się o głowę ponieśli karę ustanowioną na mężobójcę¹⁶. Warszawski widocznie lepiej zapłacił – intryga się nie udała.

A kiedy już nareszcie sprawa jakaś wytoczyła się przed sądy, ileż to jeszcze pozwanemu pozostawało wybiegów, kruczków, środków przewłoki, ile tzw. lekarstw prawnych, zarówno w sprawach kryminalnych, jak cywilnych! Dawało się zasądzać zaocznie, czekano na pierwszy wyrok banicji, który nic albo bardzo mało znaczył, a dopiero wtenczas zaczynała się gra właściwa. Było mnogo środków obalenia wyroków, zniszczenia całej pracy i nakładu strony pozywającej, cofnięcia sprawy tam, gdzie się dopiero zaczynała: pozwy źle położono, rzecz *iniuridice* [nieprawnie] traktowano, dekret nieważny *de male obtento*, *de male narrata* [niegodnie uzyskany, niegodnie przekazany], i tak dalej bez końca. Charakterystyczne są pod tym względem kautele [gwarancje], jakie dla zapobieżenia późniejszym zarzutom czyniono przy zawieraniu

ugód i intercyz natury cywilnej, a nie lepiej *mutatis mutandis* [z uwzględnieniem pewnych różnic] działo się i w sprawach natury kryminalnej. Strony zastrzegały sobie, że nie będą się w razie sporu zasłaniać i bronić „żadnymi lekarstwami prawnymi, zwłokami, które tak z prawa, jak i zwyczaju pozwolone bywają, tj. ani prawdziwą, ani zmyśloną niemocą, ani na munimenta [dokumenty], na kwit o większą rzecz, na lata potomków młodych, na zastępcę wymówek, ani także zawiłymi albo doskonałymi, jako niedoskonałymi statutami i konstytucjami, ani dawnością, ani odbiciem prawnym, ani złym i nierychłym na cudzych dobrach pozwu kładzeniem, ani woźnym niedoskonałym, ani zjazdem, ani sejmem, ani nieprzyjacielem postronnym, ani wody, ognia, mostów, grobli przeszkodami etc.”¹⁷.

Jednym z najzwyczajniejszych środków przewlekania sprawy i tamowania biegu sprawiedliwości w procesach cywilnych, zarówno jak kryminalnych, był glejt królewski, tzw. *salvus conductus* [dosł.: bezpieczny przejazd]. Glejty były w zasadzie potrzebne, a nawet konieczne; chroniły one przed bezzwłocznym wykonaniem dekretu, wydanego zaocznie lub osiągniętego podstępnie, były zatem tarczą dla niewinnie lub nieważnie zasądzonych – ale niestety, wydawane zbyt pochopnie a lekkomyślnie przez kancelarię królewską, przechodziły w nadużycie, bo częściej bywały ucieczką i ochroną winnych aniżeli niewinnych. Taki glejt miewał niekiedy znaczenie zupełnej restytucji sprawy, która już docierała po długim czasie do mety, miał zazwyczaj walor sześciomiesięczny, zasłaniał skazanego przed egzekucją wyroku, banicie przywracał prawa obywatelskie, pozwalając mu przebywać swobodnie i bezpiecznie – *tute, secure et libere* [osobiście, bezpiecznie i wolno] – w granicach państwa, stawać przed sądami, dokonywać aktów prawnych. Taką samą rolę odgrywały sublewacje i relaksacje [zniesienie wyroku] banicji na czas pewien, po którego upływie następowały znowu prorogacje [odroczenia]. Cóż powiedzieć o samej procedurze karnej, w której ostatecznie rozstrzygała przysięga nie świadków, ale stron bezpośrednio interesowanych. Trybunał po wysłuchaniu stron i świadków, po zbadaniu wyników śledztwa (*scrutinium*) orzekał, kto ma przysięgać: oskarżający czy oskarżony, a tak nie sam dowód winy rozstrzygał sprawę, ale potępiał przysięgą oskarżyciel, uwalniał się nią od winy oskarżony. „Mało nie wszystko prawo wasze na przysiędze zawisło” – mówi Włoch Górnickiego¹⁸.

Zapada wreszcie wyrok prawomocny. A więc według stopnia przewinienia: miecz, wieża, banicja, infamia. Kto miał wyrok wykonać, kto miał pojąć winowajcę i zniewolić go do ekspiacji, skoro władzy wykonawczej, silnej, trwałej, zorganizowanej tak jakby nie było? Kara śmierci bardzo rzadko zdarzała się w Polsce — oczywiście mowa tu o szlachcie, bo chłop szedł za byle kradzież wołu na szubienicę, a miasta nadużywały miecza na mocy swego okrutnego prawa magdeburskiego — chyba że winny ścigany był prawem przez bardzo możnego oskarżyciela, chyba że był bardzo mizernym, nieosiądnym szlachetką i należał do warstwy herbowej „zgołoconej i obdartej” — *golotae et odardi*, jak się w swojej zabawnej łacinie wyrażają nasze akta — albo gdy podpalał i rozbijał, a pojmany był *in recenti* na podstawie zasady prawnej: *Fur, latro, incendiarius, viarum depopulator ubique capiatur* [Złodziej, rozbójnik, podpalacz, zabójca przydrożny, wszędzie (winien być) chwyтany].

Gdy się zważy mnogość najcięższych nawet zbrodni, niepomszczonych mieczem w Polsce — „do tego przyszło — woła Skarga — że ten, co ojca własnego zabił, na tym przeszłym sejmie, mając wolny czas do schronienia, bez karania został”¹⁹ — zrozumie się łatwo, dlaczego stracenie Samuela Zborowskiego na znacznej części społeczeństwa sprawiło wrażenie wyjątkowego okrucieństwa, aktu osobistej zemsty.

Wieża uchodziła za bardzo ciężką karę. Według konstytucji z 1588 roku winowajca siedzieć miał *in fundo* [w lochu] na samym dnie wieży, w takiej głębokości, że od podłogi do okna miało być 12 łokci odległości, a taż sama konstytucja wzbrowiła starostom pod karą 400 grzywien czynić ulgi odsiadującym wieżę, mianowicie podbudowywać im pięterka i kominy. Była opinia, że gdyby „tak siedział mężobójca, jako ma siedzieć, rzadko by który wyszedł żyw z wieży”. Ale tak nie było; podstarościowie i burgrabiowie czynili więźniom najrozmaitsze ulgi i ustępstwa; zobaczymy, jak ta straszna kara w rzeczywistości wyglądała.

„A co o wieży powiadasz — czytamy u Górnickiego — iż trudno rok w niej wysiedzieć, to wiem jednego, który trzy lata i kilka niedziel, nie wychodząc, w wieży siedział, a żyw i teraz, i ma się dobrze”. Dokazał tego samego także szlachcic Walenty Cebrowski, który za zabicie dwóch braci Czerniowskich odsiedział trzy lata i 18 tygodni²⁰. W bardzo licznych wypadkach

skazany wieży nie zasiadał i uchodziło mu to bezkarnie, bo nikt się o to nie upominał. „Ale to niektórzy farbują, wywodząc srogość kaźni polskiej – czytamy u Modrzewskiego – że na rok do tarasu mężobójcę sadzają. O, jako wiele jest ludzi, pobitych za naszej pamięci w domu i na ulicach, w mieście i na polu, w świętych i nieświętych miejscach! A któryż był z tych morderców, który by się nie wymknął z tego siedzenia dorocznego?”²¹. A działa się tak wobec surowych konstytucji, które stanowiły, że, „kto by, będąc *convictus* [skazany], do wieży czasu oznaczonego nie siadł albo z niej wyszedł, nie wysiedziawszy, ma być *infamis ipso facto* [za ten czyn (ogłoszony) infamiem]; ma być przez starostę albo stronę imany i na gardle karany”.

Przez starostę albo stronę. Niestety, częściej przez stronę niż przez starostę. Spotykamy w aktach ciągle przykłady, że gdy chodziło o zniewolenie kogoś do zadośćuczynienia prawomocnemu wyrokowi, musiała zająć się tym strona, a tak egzekucja dekretu przechodziła w ręce prywatne i niebezstronne. Starosta był jedynym organem wykonawczym, a nie było beczynniejszej władzy nad starościńską. Nie dlatego, żeby zakres kompetencji i środków starosty był niedostateczny – przeciwnie zakres ten pod względem sądowym, wykonawczym i administracyjnym był bardzo szeroki, a dotacja materialna bywała zwykle hojną, ale dlatego, że do rzadkości należał starosta, który by na serio i sumiennie pojmował swoje stanowisko urzędowe, który by spełniał gorliwie swoje nadzwyczaj ważne funkcje jako szef władzy sądowej i policyjnej na wielkim zazwyczaj obszarze kraju, jako stróż bezpieczeństwa publicznego, jak *brachium regale* [postępujący z ramienia królewskiego] i wykonawca woli prawa. Starostwo uważało się za osobistą dotację, za źródło dochodu, z którego zaledwie nieznaczna część szła na cele urzędowe. Najczęściej pan starosta nie zajmował się sprawami swego urzędu, zdawał wszystko na swoich podwładnych – podstarości bywał wszystkim. Lepiej tak może jeszcze było, aniżeli kiedy starosta chciwy i samowolny nadużywał swojej władzy, która w ręku despotycznego i bezwzględного człowieka z rękojmi bezpieczeństwa zmieniała się w środek ucisku słabych i bezbronnych, jak tego mamy przykład na starości przemyskim, sławnym i osławionym zarazem Kmicie, którego rządy w ziemi przemyskiej w tak czarnych kolorach odmalował nam Stanisław Orzechowski w cytowanym już wyżej liście do Przyłuskiego. Takich

starostów, o jakich opowiada Starowolski, który „pamiętał, gdy dwu starostów niegdy sądzono o zdzierstwo albo i rozbój jawny: jednego, że dwóch cudzoziemców na moście wzięwszy, kazał potopić, pieniądze i klejnoty od nich pobrawszy, drugiego, co sobie w jarmark targowe gwałtem wybierał od kupców, sztuk kilkanaście bławatów brał od sklepu, kufę albo dwie małmazji od piwnicy; za sługą, co wybierał, zaraz dwoje sań poszóstnych ze stem piechoty chodziło, którymi rzeczy wydarte na zamek odwożono”²² – takich starostów zapewne do wyjątków liczono, ale do wyjątków też należeli gorliwi, bezstronni i urząd swój na serio biorący.

Bez odpowiedniej siły zbrojnej trudno było strzec bezpieczeństwa publicznego i być egzekutorem wyroków. Miał starosta przeciw sobie setki szabel niesfornej szlachty i powinien był utrzymywać znaczniejszą straż bezpieczeństwa. Pozwalały mu na to środki, których dostarczały dochody starostwa, a bywały bardzo obfite nawet mimo lichej zazwyczaj administracji. Dotacja np. starostwa przemyskiego składała się z 27 wsi i dwóch miast, Przemyśla i Niżankowic, sama zaś arenda gorzałczana przemyska wynosiła w 1659 roku wraz z mytami przeszło 10 000 zł, a dobra ziemskie nieść były powinny około 50 000 zł, i wypuszczone nawet za bezcen w dzierżawę, jak np. około roku 1670 przez ówczesnego starostę, ks. Michała Radziwiłła, Stanisławowi Krainkiemu, dawały przecież czynszu rocznego 28 000 zł²³. Ale starosta, mimo że mógł, nie utrzymywał stałej straży bezpieczeństwa, a jeżeli miał kiedy do dyspozycji jaką siłę zbrojną, to nie dla utrzymania porządku, ale dla prywatnych celów, np. dla staczania bitew z przeciwnikami swymi, jak mamy tego przykład na Janie Tomaszu Drohojowskim i Adamie Stadnickim, obu starostach przemyskich. Osobną straż zamkową spotykamy w województwie ruskim tylko w Haliczu, gdzie starosta Struś utrzymuje 100 piechoty służącej, zorganizowanej po wojskowemu, pod osobnym rotmistrzem, ale i tu ją rozpuszczono po kilku miesiącach²⁴, czego panu starościę przyszło w lat kilka później mocno żałować, bo Adam Kalinowski, starosta winnicki, podkopał się pod zamek i wykradł mu córkę.

Cóż się tedy działo, kiedy nareszcie chodziło o konieczne wykonanie wyroku siłą urzędową, o poskromienie zuchwalca, który nie tylko urągał wszelkiej powadze kraju, ale był niebezpieczeństwem i plagą całego powiatu?

Szedł mandat po mandacie od króla do starosty, aby wykonał egzekucję *mota nobilitate* [ruszeniem szlacheckim], szły uniwersały do szlachty, aby na mocy konstytucji z 1609 roku dała mu pomoc. Na oznaczony przez starostę dzień, każdy szlachcic wyruszyć był obowiązany pod karą 100 grzywien – ale to pospolite ruszenie powiatu rzadko kiedy przychodziło do skutku w takiej sile, jakiej było potrzeba. Kiedy w 1603 roku wezwano uniwersałami królewskimi i starościńskimi szlachtę sanocką, aby ruszyła na Stanisława Tarnawskiego, chorążego sanockiego, jako banitę obłożonego infamią i buntownika przeciw pospolitemu prawu – stanęło dwóch szlachciców, jak to z oburzeniem stwierdza w protestacji swojej podstarości Zygmunt Chamiec²⁵. Trzeba sobie było radzić inaczej, jak np. radził sobie starosta sanocki Mniszech, który nie mogąc liczyć na pomoc szlachty, używał niekiedy do egzekucji tzw. smolaków i harników, tj. chłopów zorganizowanych w rodzaj straży górskiej i leśnej, jak to uczynił w roku 1653, kiedy chodziło o starościńską egzekucję na Piotrze Balu w Tokarni²⁶. Gdzie i tego środka nie było, kończyło się tedy na tym, że przy pomocy jakiejś błędnej chorągwi, wałęsającej się po kraju i wybierającej bezprawnie stacje, jeśli się nawinęła w pobliżu, po zebraniu zgrai luźnego hajductwa, a nawet Tatarów i owych obszarpańców szlacheckich, ochrzczonych nazwą *golotae et odardi* [latynizacja polszczyzny, dosł.: gołoty i obdartusów], wyruszała wyprawa, podobna raczej do wszystkiego innego, aniżeli do prawowitego *brachium regale* [działającego z ramienia królewskiego]. Toteż tzw. egzekucje miały niekiedy otwarte cechy gwałtu, wyglądały raczej na rozbójniczy najazd aniżeli na akt powagi i siły rządowej, na represję z ramienia króla.

Marcin Krasicki jako starosta przemyski wykonał kilka takich egzekucji, między innymi na synach Stadnickiego Diabła, Zygmuncie i Władysławie – wielbi go za to epitafium: *regum rebelles, pacis turbatores et praedones viriliter repressit* [buntujących się (wobec) królów, zakłócających pokój i grabieżców mężnie karał]. Jak wyglądała jednak niekiedy taka urzędowa represja, dowiadujemy się od jednej z jej ofiar, szlachcica Mariana Zielińskiego, który zarzuca staroście, że pod pretekstem egzekucji „prawie o północy nasał na jego dwór w Rolowie sługi swe, a z nimi Tatarów Hassana, Sołumacha, Dusaja i inszych około 70 ludzi, którzy z okrzykiem tatarskim i strzelaniem

drzwi do dworu dobywać poczęli, a nie mogąc dobyć, ogień pod nie położyli, a przepaliwszy drzwi, ostatek siekierami wyrąbali, Zielińskiego obuchami zbili, prawie *nudum* [nagiego], bo tylko w białiznie na koń wsadzili i nogi pod konia powrozami związali, *interim* [w międzyczasie] wszystek sprzęt i ochędóstwo jego zabrali, a potem nocą, nie drogą, ale manowcami do Dolhego, wsi jezuickiej zawieźli, nazajutrz przez Sambor *captivum contumeliose* [schwytanego haniebnie] prowadzili, a stamtąd na noc do Brześcian zawieźli, gdzie Zieliński przy pomocy rodzzonego brata uszedł²⁷.

Zdarzało się i tak, niestety, że egzekucja starościńska dawała dobrą sposobność prywatnym ludziom do osobistej zemsty na przeciwniku lub znienawidzonym sąsiedzie. Wtedy do urządzonej przez starostę egzekucyjnej wyprawy przyłączał się jakiś szlachcic nieproszony i kupą zbrojnej czeladzi uderzał na swoją ofiarę, podszywając się pod oficjalny akt starościńskiej egzekucji, pod której maską dopuszczał się otwartych gwałtów i dogadzał swojej czysto osobistej zemście. Tak np. zrobił w 1661 roku Mikołaj Ossoliński, starosta knyszyński, zuchwały swego czasu niegodziwiec i awanturnik, osławiony w ziemi przemyskiej ze swoich krwawych gwałtów, o którym w dalszym ciągu tej pracy przyjdzie nam obszerniej mówić w opowieści o małżeńskiej tragedii, jakiej nareszcie sam padł ofiarą.

Rzecz się miała tak: przeciw Olbrachtowi Grochowskiemu, właścicielowi Dynowa, zapadły dekrety o niezapłacenie zaległych poborów, a starosta sanocki Jerzy Mniszech otrzymał nakaz wykonać na upornym kontrybuencie egzekucję *mota nobilitate* [ruszeniem szlacheckim]. Starosta wezwał do udziału szlachtę i powierzył przeprowadzenie aktu egzekucji podstarościeму Janowi z Kunowa Oświęcimowi i wicesregensowi Kosieradzkiemu. Jak zwykle, mało kto ze szlachty sanockiej stawiał się na wezwanie starosty i akt egzekucji spełzłby był na niczym, gdyby nie Ossoliński, który z tytułu dawniejszych zatargów pragnął wyrzucić swą zemstę na Grochowskim. Skorzystał tedy z wezwania starosty i na czele 300 ludzi, nadwornych swoich dragonów i poddanych chłopów, nawet z armatami, wyruszył na Dynów, zmieniając akt oficjalny w prywatny i rozbójniczy zajazd. Bandy Ossolińskiego, uderzywszy na Dynów, grasowały tam srożej niż po tatarsku. Zapalono racami miasteczko, złupiono kościoły, znieważono księży, rabowano i dokonywano gwałtów

jakby w zdobytym nieprzyjacielskim mieście – a wszystko to pod maską urzędowego, legalnego, dekretem trybunalskim nakazanego aktu egzekucji. Czyn ten nie uszedł bezkarnie, ale rzecz zaiste wielce charakterystyczna, nie sam tylko Ossoliński, ale i starosta sanocki Mniszech odpokutował go w bardzo dotkliwy sposób. Jemu to i wicesregensowi Kosieradzkiemu wytoczył tak srodze pokrzywdzony Grochowski proces, który się skończył na tym, że Mniszech, godząc się z Grochowskim, opłacić się musiał znaczną sumą, która wraz z kosztami procesowymi dosięgać miała 20 000 zł, a o której zwrot znowu procesował się i z samym Ossolińskim, i z jego spadkobiercami; Kosieradzki zaś *redimendo caput* [wykupując głowę] – jak się wyraża dekret trybunalski – odsiedzieć musiał rok i sześć niedziel więzy przemyskiej²⁸.

Nie dziw też, że egzekucja starościńska z ramienia królewskiego – *de brachio regali, fortiter et finaliter* [z ramienia królewskiego, z mocą i nieuchronnie], jak na to opiewała formułka – była zarówno trudnym, jak niebezpiecznym obowiązkiem, od którego ile możliwości uchylić się usiłowali starostowie, i mnóstwo też spotykamy przeciw nim pozwów, że mimo ostatecznych dekretów trybunalskich i nakazów ich egzekucji, nie chcą jej przeprowadzić urzędową mocą. Ale jak miał starosta przeprowadzić egzekucję mocą, kiedy mocy tej nie miał, bo prócz prywatnej swojej służby i hajduków domowych, publicznej siły zbrojnej nie miał do dyspozycji, a szlachta mimo mandatów królewskich nie wyruszała zbrojnie na jego wezwanie, jak miał spieszyć się z egzekucją nawet wtedy, kiedy miał siłę po temu, kiedy po każdej zbrojnej jego interwencji, podjętej na mocy prawomocnych wyroków, przynaglonej kilkukrotnymi mandataми króla, wytaczano mu pozwy o gwałt publiczny i naruszenie wolności szlacheckiej, wygrywano przeciw niemu procesy, zyskiwano dekrety odszkodowania? Doświadczył tego na sobie starosta przemyski, wspomniany właśnie Marcin Krasicki. Za przeprowadzenie egzekucji na Zygmuncie Stadnickim, synu Łańcuckiego Diabła, w Rudawce, pozywa go brat tegoż Zygmunta Stanisław o 200 000 zł odszkodowania, uzyskuje nawet w trybunale dekret przychylny i jeszcze w 1642 roku, a więc w 20 blisko lat po tej egzekucji rudawieckiej, ściga jego spadkobierców i w 1642 roku pozywa starostę przemyskiego Daniłowicza, że nie chce przeprowadzić przymusowej egzekucji za szkody wynikłe – z przymusowej

egzekucji²⁹. Po egzekucji na innym synie Diabła, Stanisławie, pozywają Krasickiego mieszczanie łańcuccy o 18 000 zł odszkodowania, bo im popsuł bramy i ostrokoły miejskie.

Jeżeli nawet przeciw gwałtownikom i zbrodnicy wrogom społeczeństwa, których poskromienie leżało przecież w interesie ogółu, zagrożonego na życiu i mieniu, egzekucje albo wcale nie przychodziły do skutku, albo tylko po długich zwłokach i z wielkimi trudnościami – cóż dopiero mówić o egzekucji dekretów zapadłych w sprawach nie kryminalnych, ale czysto cywilnych, gdzie chodziło tylko o dłużnika, który nie chciał płacić, o dzierżawcę, który nie chciał ustąpić itp. Egzekucji takiej nikt się nie bał, nikt przed nią nie ustąpił – a przebieg jej bywał niekiedy wprost szyderstwem z władzy i sprawiedliwości.

Jak to wyglądało, pokaże nam pierwszy lepszy przykład, wyjęty z zapisków grodzkich. W roku 1665 rodzina Zgurskich, po długim, bardzo mozolnym procesie z Walentym Fredrą, uzyskała nareszcie dekret trybunalski stanowczy i pomyślny, i chodziło już tylko o jego egzekucję w kilku miejscach, na kilku majątkach, a mianowicie w Radochońcach, Nowym Siole, Żurowie itd. Otóż w Nowym Siole urząd powitany został pięćdziesięciu lufami muszkietów, skierowanych ku niemu, a zgromadzeni przed dworem chłopci oświadczyli: „Mamy rozkazanie, iż kiedy urząd grodzki żydaczowski, albo którykolwiek do której wsi od kogokolwiek zjedzie, do dworu się kupić armatno i egzekucji w żaden sposób nie dopuszczać, bo gdybyście dopuścili, kazalibyśmy was na pal powbić, a jeśliby gwałtem urząd egzekucję wpuścił, tedy nam rozkazano, abyśmy wszyscy z dziećmi i żonami ze wsi precz wychodzili”.

Na taki argument urząd grodzki wykonał szybki odwrót i postanowił próbować szczęścia w Radochońcach, ale tu znowu słudzy Fredry zastąpili mu drogę, wołając: „Nie ważcie się panowie *violenter* [gwałtem] następować, bo pp. Fredrowie całe się deklarowali bronić i nie dać sobie wyrzucić majątności, a mają z to potęgę i męża do obrony”. A kiedy wicesregens mimo to chciał dokonać aktu egzekucji i zbliżył się do dworu, zastąpili mu groźnie drogę synowie Fredry, miecznik nowogrodzki Aleksander i Konstanty, wołając: „żeśmy się już rezolwowali dać się pozabijać, a majątności sobie wziąć nie damy, chyba żeby po naszych trupach tu wleźli”³⁰.

Powierzenie siły wykonawczej samymże obywatelom, oddanie sprawiedliwości pod opiekę ich szabel, było niewątpliwie w zasadzie rzeczą szlachetną, godną wolnego i cnotliwego narodu, a fantatom i chwalcom przeszłości wydać się może obyczajem, w którym zakochać się warto. Jak większa część praw polskich, tak i to urządzenie wychodziło z supozycji idealnego społeczeństwa, którego szukać by chyba w bajecznej krainie Morusa, *in nova insula Utopia* [na nowej wyspie Utopii]. Takiemu społeczeństwu nie potrzeba by było zresztą ani praw, ani ich wykonawców. Widzieliśmy na kilku przytoczonych u góry przykładach, jak to wyglądało w rzeczywistości, na ziemskim gruncie, i jak się praktyka biła z ideałem – a grubo silniejsza bywała od niego. W obrębie całego województwa ruskiego i w okresie całego półwiecza jedyne może tylko spotykamy starostę, który umiał jako tako pogodzić ustawę z trudnościami praktyki i miał szczęśliwą rękę przy egzekucjach *mota nobilitate* [ruszeniem szlacheckim], ale była w tym zasługa jego osobistych wyjątkowych przymiotów, jego sprytu i popularności u braci szlachty.

Był nim Piotr z Ossy Oźga, referendarz koronny, po Pretficzu w latach 1609–1623 starosta trembowelski. Osobistość wielce charakterystyczna, szlachcic wyjadacz, jowialista, do tańca i do różańca, mocny w gębie i w pięści, łeb tęgi przy kuflu, gracz na szable, orator, statysta [dyplomata], gospodarz, nawigator, zawsze dobrze na swoim miejscu i dobrze w swojej roli, czy to na bankiecie przy dobrej myśli, czy marszałkując na sejmiku, czy zasiadając w sądach, czy też odprawując poselstwa do Wysokiej Porty. Umiał gadać doskonale z sułtanem, z królem, z magnatem, szlachcicem i Żydem, a z tym ostatnim mawiał gęsto, bo pozostał po nim nawet foliał z wymownym tytułem: *Rachuba z Żydy*. Miał w skrzyni żelaznej zawsze kupę złota; kiedy umarł, doliczono się 8 000 dukatów, 270 portugałów, każdy po 20 dukatów, 700 duplonów, 1000 złotych dzieg moskiewskich i 2000 talarów; utrzymywał całą flotyllę, którą słał pszenicę do Gdańska; na okazowaniu [przegląd gotowości wojsk pospolitego ruszenia] rozpiął namiot, który go kosztował 800 zł w Stambule, miał dwie stadniny, ale jeździł na starym koniu, dożywotniku, a kiedy parada, to w aksamitnej karecie okutej srebrem, miał w domu 200 ksiąg dużych a 100 mniejszych, i co mu także jednało reputację niepospolitego człowieka, trzymał w Trembowli papugi³¹.

Otóż ten pan referendarz Ożga umiał wybornie przeprowadzać egzekucje i sam jeden przeprowadził ich może tyleż, co wszyscy współcześni mu starostowie całego województwa razem wzięci, a zawsze gładko i skutecznie, nie narażając się nigdy na rekryminacje i na pozwy o gwałt i nadużycie władzy. Nim się zabrał do takiej egzekucji za pomocą szlachty swego powiatu, zwlekał jak najdłużej, dał się pozywać przez stronę, domagającą się od niego wykonania dekretu, czekał na powtórne mandaty królewskie i nakazy trybunalskie, aby zrzucić z siebie wszelkie odium osobiste i przekonać szlachtę, że nie p. Ożga, ale niešťczęśliwy starosta pod gwałtem prawa domaga się od nich pomocy, a od opornej strony uległości. Dopiero gdy nadszedł ten moment krytyczny, zabierał się do dzieła po sąsiedzku, po ludzku, w familiarny poniekąd sposób. Oto próbka jego uniwersałów, wzywających szlachtę do ruszenia się przeciw opornej dekretem stronie: „Moim Mościwym Panom i łaskawym braciom po zaleceniu służb moich łasce Waszmościów, wiadomo czynię, iż szlachetna pani Jadwiga Rudzka, przewiodłszy prawo przeciw księżnej JMć Annie Chodkiewiczówny Koreckiej, pozywała mnie z urzędu mego starościńskiego *pro facienda finali executione* [do wykonania końcowej egzekucji/wyroku] z księżnej jejmości na trybunał i tam na mnie otrzymawszy zysk, żądała egzekucji i świętej sprawiedliwości, zarazem ja, będąc prawu posłuszny, czas tej egzekucji i św. sprawiedliwości składam *pro die* [na dzień] 30 miesiąca sierpnia, na który proszę, abyście się Waszmości bez wymówki podług powinności swej pod miasteczko Borek zjechać raczyli, a stamtąd do Skałata, majątności księżnej jejmości, ruszyli się i tamże czynili, co święta sprawiedliwość nieść będzie, gdzie i ja, użyczyli mi Pan Bóg zdrowia, nie będąci służbą Króla JMci zabawny, na pośrzodek Waszmościów stawić się nie omieszkać”³². Egzekucja poszła gładko, „świętej sprawiedliwości” stało się zadość, a szlachta rozjechała się do domów z wielką satysfakcją, że pomogła biednej wdowie przeciw potężnej księżnej. Ale, niestety, takich starostów niewielu było na Rusi.

Przychodziło nawet do tego, że nie było ich wcale, tj. nie było w prawdziwym znaczeniu publicznej władzy, na serio. Drapieźna dłoń magnatów, nienasyconych w łupiestwie grosza publicznego i dóbr koronnych, sięgała po hojnie dotowane starostwa, i to, co było władzą, sądem, urzędem, najgłówniejszą instytucją administracji i publicznego bezpieczeństwa, zmieniała

w prywatny klucz o tylu a tylu folwarkach, robiła ze starosty domowego famulusa, ze starostwa igrzysko gwałtów i szachrajstwa. Taki magnat, otrzymawszy starostwo, zabierał jego dochody, a do sprawowania urzędu używał któregoś ze swych dworzan, dawał mu tzw. *cessionem iuris* [scedowanie prawa], mianował swoim płatnym surogatorem [zastępcą].

Tak się stało w roku 1650 ze starostwem przemyskim, które odtąd przez cały szereg lat było ofiarą bezprzykładnego wyzysku i zaniedbania. Książę Jeremi Michał Wiśniowiecki, otrzymawszy to starostwo, mianował jurydycznym starostą, jakby swoim własnym prywatnym oficjalistą, Marcina z Niedozielska Madalińskiego, podczaszego wieluńskiego, a to pod warunkiem, że „nie będzie miał żadnego interesu do zamku, miasta, miasteczek i wsi starostwa pretendować, ani prowentów, intrat uzurpować sobie, ponieważ te *totaliter sine omni exceptione* [bez wyjątku] JOświecony Książę Jegomość *ad usum et potestatem suam* [do swojego użytku i posiadania] zachowuje i zostawuje, że samą tylko sprawiedliwość obywatelów tamtecznych *consulendo* [mając na względzie] jurysdykcją sądową” obejmuje. „A jako ja sam od JOksięcia dependencją swoją *profiteor* [uznaję] – czytamy dalej w submisji Madalińskiego – tak i oficjalistów grodzkich sądowych samże Książę Jegomość podawać będzie. Do tego i w tym obliguję siebie samego i *fidem* [wiarę] moją, że za najmniejszą rekwizycją, lubo ustną lubo pisemną *quocunque tempore* [w dowolnym czasie] zachodzącą, powinienem prawa terażniejszego i jurydyki pomienionej *cedere* [ustąpić] i tak *abrenunciare* [zrzec się], komu i jako *videbitur* [będzie wiadome] Księciu Jegomości”³³.

Po śmierci Jeremiego Wiśniowieckiego dochody starostwa przemyskiego przechodzą na jego małoletniego syna Michała, w roku 1656 należą już do księcia Dominika Ostrońskiego, ożenionego z Katarzyną Sobieską, a po tegoż śmierci pobiera dochody wdowa, która poślubiwszy księcia Michała Radziwiłła, podczaszego wielkiego księcia litewskiego, wnosi mu także starostwo przemyskie. Odtąd przez cały szereg lat starostwo zamiast być strażą spokoju i bezpieczeństwa, staje się kością niezgody, przedmiotem intryg, pozwów, gwałtów i najazdów. Madaliński, uważając się po śmierci księcia Jeremiego za zwolnionego ze swojej obligacji, stawia opór Ostrońskiemu i Radziwiłłowi, nie chce ustąpić z jurysdykcji, wytacza pozwy o kilkadziesiąt tysięcy tytułem

niepłaconej mu przez cały szereg lat pensji rocznej 5000 zł za sprawowanie funkcji starościńskich, wygrywa proces na Radziwiłłach, którzy pod naciskiem dekretów trybunalskich godzą się z nim w ten sposób, że na umorzenie wszelkich pretensji oddają mu w dzierżawę dobra starostwa przemyskiego za bardzo niską tenutą roczną. Jeżeli się zważy, że starostwo to obejmowało oprócz miast Przemyśla i Niżankowic 27 folwarków na doskonałej glebie, że sama аренда przemyska dawała 10 000 rocznego dochodu³⁴ – to będziemy mieli wyobrażenie, jak świetny zrobił interes Madaliński, i jak bardzo żałować począł Radziwiłł, że w słabej chwili za tak małą cenę pozbył się dochodów starostwa, które przy najlichszym gospodarstwie i najniedbalszym wyzyskiwaniu źródeł ekonomicznych dawało rocznie przeszło 50 000 zł, czyli na dzisiejszą wartość monety około 200–300 000 koron.

I oto występuje teraz na widownię Ludwik Niezabitowski, figura w ziemi przemyskiej dotąd zupełnie nowa i nieznana, butny parweniusz, doskonały okaz tej szybkiej krescytywy [kariery], do jakiej pomagała „klamka pańska” – z początku tylko sługa i dworzanin Wiśniowieckich, następnie już kontutor nieletniego księcia Michała, później *factotum* [zausznik] Ostrogskich i Radziwiłłów, do których się dostaje wraz z Katarzyną Sobieską; w roku 1656 tylko podstoli brackowski, wkrótce starosta lubelski i pułkownik, w roku 1667 już kasztelan sandecki, a więc całą gębą *Illustris et Magnificus* [Jaśnie Wielmożny]³⁵. Ufny w protekcję Radziwiłłów, mając nadto do dyspozycji kilka chorągwi kozackich i wołoskich, Niezabitowski grasuje w ziemi przemyskiej, pod pozorem niezapłaconej hyberty [podatek na pokrycie żołdu wojska w zimie] najeżdża dobra biskupa przemyskiego Sarnowskiego, łupi mu Brzozów i Jaśliska³⁶, ograbia i pali miasteczko Radymno, gdzie trzy chorągwie jego wybrały od mieszczan kilka tysięcy³⁷, obdziera chłopów w dobrach Korniaкта i najeżdża mu Żurawicę³⁸; dobywa w roku 1661 szturmem Dobromił Olbrachta Krasieńskiego, kasztelana ciechanowskiego, żonę kasztelana, kobietę ciężarną, wypłaszają żołnierze z zamku, tak że z przerażenia poroniła³⁹, w czym wszystkim odgrywa także rolę czynną jego synowiec, Krzysztof Niezabitowski. Zuchwalstwo swoje posuwa tak dalece, że wypowiada wojnę wszystkiej szlachcie przemyskiej; w 1656 roku zrywa sejmik w Sądowej Wiszni, nie dopuszczając do wyboru marszałka. Wtedy to kasztelan lwowski, Aleksander

Maksymilian Fredro, mówi z oburzeniem: „Co za pycha tego człowieka, który tu niedawno do nas przyjechał!” – i chwytając za szablę woła: „Rozsiekać go trzeba, rozsiekać!”. Madaliński i szlachcic Truskolawski pierwsi dobyli szabel, a za nimi rzucili się ku Niezabitowskiemu wszyscy zgromadzeni na sejmiku. Rozsiekano by go w sztuki, gdyby pod osłoną kilku swych adherentów [stronników] nie był się ratował spieszną ucieczką⁴⁰, ale za upokorzenie to bierze odwet w trzy lata później, bo na czele 100 piechoty księcia Radziwiłła znowu rozrywa sejmik, zwołany przez króla na dzień 24 września do Sądowej Wiszni⁴¹.

Po tym zajściu i po całym szeregu dalszych wybryków szlachta całego województwa ruskiego wystąpiła z ostrym protestem przeciw gwałtownikowi; sprawa oparła się o króla, który przed posłami z sejmiku wiszeńskiego „bolał na te *querelas* [skargi] tak żałośnie, które przed Majestatem jego Pańskim przełożono przeciwko urodzonemu Niezabitowskiemu, i jako to jest eksces wielki popełniony, tak słusznie Król Jmc *ad vindicandam iniuriam permovit* [dał się nakłonić do pomszczenia krzywdy], że instygatorowi kor. na sejm dać mu o to mandat rozkazał”⁴². Szkody wyrządzone przez Niezabitowskiego ziemi przemyskiej oszacowano wtedy na 200 000 zł, a więc na sumę wynoszącą przeszło milion koron w monecie dzisiejszej⁴³.

Tego to Niezabitowskiego wyprawia Radziwiłł przeciw Madalińskiemu, którego uważa nie za starostę, ale za krnąbrnego sługę, za rodzaj podstarościego, który ważył się zuchwale zbuntować przeciw swemu panu. Niezabitowski zaczął od tego, że udał się z dwoma towarzyszami do Madalińskiego, który przebywał w Bakończycach, tuż pod Przemyślem, i zawezwał go groźnymi słowy, aby bezzwłocznie ustąpił z jurysdykcji i z dzierżawy dóbr starostwa. „Książę Jegomość Radziwiłł – wołał – bijał wojewodów, i na Ciebie, panie starosto, sto tysięcy gotów łożyć, a w ostatku by też i Nieśwież i Białę miał stracić”. Kiedy Madaliński remonstrował, odwołując się do praw nabytych i już przez króla zatwierdzonych, Niezabitowski odjechał, aby wkrótce powrócić na czele 600 dragonów i Wołochów i oblec Bakończyce. Madaliński bronił się w swoim okopanym dworze i przez pięć dni walecznie wytrzymał oblężenie, ale szóstego dnia Niezabitowski szturmem wtargnął do środka, a Madaliński ratować się musiał ucieczką.

Niezabitowski obsadził zamek przemyski i osaczył strażami wszystkie gościńce, aby pojmać Madalińskiego, gdyby chciał pospieszyć po ratunek do króla lub do Trybunału⁴⁴.

Teraz już nie wiadomo, kto jest przemyskim starostą: Radziwiłł czy Niezabitowski? Nowy dzierżawca Stanisław Kraiński czy arendarz Żyd Berko? Bo trzeba wiedzieć, że i Żyd Berko Jelenkowicz odgrywa tu znaczną rolę – wszakże przyszło do tego, że on jako arendarz przemyski wypłaca pensje jurystycznemu staroście, podsędkowi ziemskiemu i innym urzędnikom grodzkim⁴⁵. Zamek przemyski się wali, zamiast urzędników i szlachty goszczą w jego spękanych, pustych murach puszczyki i nietoperze, wejście do jego komnat połączone jest z niebezpieczeństwem życia, bo lecą cegły i urywają się pułapy – władza starościńska w poniżeniu i pogardzie. Taki smutny obraz kreśli nam laudum sejmiku wiszeńskiego z 1666 roku, które opiewa: „Wskutek awulsji dóbr starostwa takie nastąpiło srogie ogołocenie, że i jednego chłopca, który by bramę zamknął, nie ma, przez co zamek upadł *in tantum* [do tego stopnia], że i wrotny bez niebezpieczeństwa życia *ob imminentem* codziennie *ruinam* [z powodu zagrożenia zawaleniem] mieszkać nie może. Sądy grodzkie *penitus* [zupełnie] ustały, bo dla niepewności zdrowia i życia dostęp niemożliwy, jako to w niedawnych czasach siła obywateli idących do sądowej izby, oberwawszy się wraz z budynkiem, potłukło się... Zabory, mordy, zajazdy w ziemi przemyskiej *impune* [bezkarne] się dzieją, egzekucji prawnej nie masz żadnej, z powodu bezsilności *brachii regalis* [działającego z ramienia króla] w poskramianiu swawoleństwa, a nadto ze strony samych dzierżawców, odjętych dóbr starostwa codziennie następują *incommoda* [zwady], zatargi, insuldy i dysgusty [zniewagi]”⁴⁶.

Jakże chcieć, aby przy takim poniżeniu i przy takiej bezsilności władzy, która miała być strażą sprawiedliwości i bezpieczeństwa, nie wyrabiał się w społeczeństwie instynkt brutalnej „samopomocy”, nie ustalał się zwyczaj dochodzenia prawa bezprawiem, ścigania winy prywatną zemstą? Burzliwsi uciekali się do szabli, spokojniejsi do rozjemstw przyjacielskich, polubownych. Jest to w ogóle bardzo znaczącym objawem, że odbycie jakiejś kary, zapłacenie winy, spełnienie obowiązku upokarzającej deprekacji [publiczne preprosiny], najpewniej i najłatwiej przychodziło do skutku, jeśli wpływało

nie z prawomocnego wyroku sądowego, ale z kompromisu, z tzw. przyjacielskiego wynalazku. Więcej ufano naciskowi prywatnemu niż urzędowej egzekucji. Spotykamy często takie przykłady. „Szlachetny Maciej Wrocki jawnie i dobrowolnie opowiada się, iż za urazę, którą JM. panu Jakubowi Dobrzyńskiemu, szlachcicowi zacnemu, sławy jego i domu starożytnego dotykając, wyrządził, idzie na Wysoki Zamek tutejszy lwowski siedzieć do wieży, żałując i pokutując za to, i tam tak długo siedzieć powinien będzie, aż p. Dobrzyński nad nim miłosierdzie chrześcijańskie uczyni”⁴⁷. Jacek Drogocki za wyrokiem przyjacielskim ma przeprosić Mikołaja Wołoszyńskiego *in loco publico* [w miejscu publicznym] i ma przy cerkwi w Samborze przez niedziel dwie siedzieć, a Drogocki, że katolik, tedy siedzieć ma dwie niedziele przy klasztorze bernardyńskim, nadzorować ma zaś to siedzenie uproszony ku temu umyślnie Jerzy Hoszowski⁴⁸. Feliks Zawisza zasiada wieżę *ex amicorum consensu* [za zgodą przyjaciół] za krzywdę wyrządzoną Tobiaszowi Krzywieckiemu; tak samo Mikołaj Staniński *ex concordia certa* [za umyślną ugodą], tj. za ugodą zawartą z Piotrem Ożgą⁴⁹; Stanisław Błoński odsiaduje wieżę w Przemyśle na mocy intercyzy zawartej z braćmi Grzybowskimi; Paweł Jasieński i Andrzej Sarnicki, czyniąc zadość *amicabili compositioni* [przyjacielskim układom], poddają się tak samo karze siedzenia w wieży przemyskiej, jak niemniej Konstanty Korniakt na mocy prywatnej interwencji Stanisława Żółkiewskiego w sprawie z rotmistrzem Stanisławem Branickim⁵⁰. Kiedy natomiast chodziło o odsiedzenie wieży z wyroku sądowego, czuwać nad tym musiała najczęściej sama strona przeciwna, aby winowajca odbył karę istotnie, a jeżeli przyszło do jakiej interwencji grodu, to tylko na prośby i skargi z prywatnej strony, a nie z urzędowej inicjatywy.

Dowiadujemy się z takich prywatnych upomnień i reklamacji, że skarg wnoszonych na starostów, że nie spełniają swego obowiązku czuwania nad egzekucją wyroków, że wieża, którą prawo karne chciało mieć ciężkim więzieniem, nie zawsze bywała tak straszną, jak ją sobie malowano. Pan burgrabia był ludzki człowiek, przystępny argumentom zwłaszcza brzęczącej natury – wychodzono też z wieży do miasta, bawiono się w niej niekiedy wesoło, przerywano siedzenie według upodobania. Strona, która osiągnęła dekret wieży na winowajcę, doglądać musiała przez woźnego lub czeladź, czy też

skazaniec siedzi *in fundo* [w lochu]. Stanisław Ligęza, członek bardzo burzliwej i rogatej rodziny, o której nam później mówić przyjdzie, poprzestaje np. na manifestacji, że *impedimenta* [przeszkody] nie pozwalają mu odsiadywać wieży za zabicie Jana Leszczyńskiego, i to wystarcza władzy; drugi Ligęza siedzi niby na Wysokim Zamku lwowskim w baszcie tzw. Żulińskiej, ale spaceruje po mieście; Krzysztof Żurawiński i jego dworzanin, skazani na więź we Lwowie za gwałtowny zajazd Zboisk, zamiast *in fundo*, siedzą „na wierzchu”, a i tam właściwie nie siedzą, ale „rekreacje swawolne i bankiety rozmaite czynią” itp.⁵¹. Stefan Drohojowski, który za zabicie brata ma odsiadywać więź w Przemyślu, sprowadza sobie do więzienia nałożnicę, a gdy mu burgrabia zamku, Zygmunt Cichowski, na to nie pozwala, napada go brat stryjeczny Drohojowski w Przemyślu z okrzykiem: „Bodaj cię zabito, co mi brata mego oprymujesz! [gnębisz]”, ściga go z pistoletem w rękę, dopada i obija⁵². Bywa i tak czasem, że wieży winowajca nie zasiada, bo się wali i schody w niej runęły, jak tego dowodzi manifestacja Aleksandra Stanisława Bełzeckiego, wojewody podolskiego, który skazany na sześć tygodni wieży, chciał ją zasiąść we Lwowie, ale nie mógł, bo, jak poświadcza woźny: „Wieża lwowska spustoszała, piętra nie masz ani schodów i trudno do niej wniknąć”⁵³.

Ale najjaskrawszy przykład tego, pod jakim rygorem odbywało się niekiedy siedzenie w wieży, daje nam wypadek, który się zdarzył na zamku halickim (1647 r.). Teodor Bełzecki skazany był na więź za gwałty zbrojne, popełnione w zatargach z własnym rodzonym bratem Ewarystem. Sługa Ewarysta, Dymidecki, dowiedziawszy się, że Teodor nie siedzi bezustannie – *sine intermissione* – ale nocami opuszcza więzienie i robi sobie wycieczki, udaje się do wieży z woźnym i dwoma szlachcicami, aby formalnie sprawdzić takie lekceważenie prawa. O godzinie pierwszej w nocy łapie Bełzeckiego w bramie zamkowej na gorącym uczynku, bo wychodzącego właśnie do miasta. Na widok Dymideckiego wpada Bełzecki w furję, uderza go czekaniem, chwytą go za czuprynę, wlecze go za sobą do wieży, tam go okłada kijem, a gdy Dymidecki chce uciec drzwiami górnej wieży, dwaj hajducy Bełzeckiego chwytają go i zrzucają na dno, *in fundum* [do lochu] wieży, stamtąd omdlałego i owiniętego w płachtę na rozkaz swego pana wynoszą, aby go utopić w Dniestrze, ale na szczęście przestraszeni krzykiem jakiejś kobiety, nie spełniają rozkazu⁵⁴.

A cóż z najsroższą karą na szlachcica, z proskrypcją [wyjęcie spod prawa] i infamią, która naznaczona była za nieodsiedzenie wieży, jak w ogóle za każdy bunt przeciw woli i rozkazaniu pospolitego prawa? Infamia, gdyby w całej swej grozie i we wszystkich swych konsekwencjach zaciążyła nad głową winowajcy, byłaby zaiste straszliwą karą, szczytem zemsty społecznej. Prosta banicja była tylko śmiercią cywilną, pozbawiała skazańca praw obywatelskich, czyniła go niezdolnym do spełniania aktów prawnych — infamia skazywała na śmierć cywilną, moralną i fizyczną zarazem, wyrzucała ze społeczeństwa, robiła z winowajcy dzikiego zwierza; można było nań polować jak na wilka, zabijać bezkarnie na miejscu. Tak przynajmniej wypływało z formuły dekretu skazującego na infamię. Według swojej osnowy dekret infamii odejmował część osobistą, wszelkie urzędy i zaszczyty, bezpieczeństwo wolności i życia, wywoływał z wszystkich ziem Rzeczypospolitej, pozwalał, a nawet nakazywał winowajcę imać i zabijać bezkarnie, zabraniał wszystkim utrzymywania z nim jakichkolwiek stosunków, nakładał na każdego, ktobykolwiek dał infamisowi radę, pomoc, schronienie, opiekę choćby chwilową, takąż samą karę infamii. Ale formuła dekretu stała w sprzeczności z konstytucją uchwaloną na sejmie w 1588 roku, a konstytucja stała znowu w sprzeczności z sobą samą. Orzeka, że „nie mają starostowie w dworzach szlacheckich wywołańców imać, chybaby im tego szlachcic dozwolił dobrowolnie; na innych miejscach imać wolno” — i zaraz dalej powiada: „Kto by wywołańca w domu przechowywał albo mu rady i pomocy użyczał i z nim obcował, ma być pojmany od *iudicium castrense* [prawa obozowego] i podpada pod *poenae complicitatis* [karę za współudział]⁵⁵. Tedy jak? Nie wolno przechowywać wywołańca, i nie wolno imać przechowanego? Ależ ten, kto przechowuje wywołańca, według brzmienia prawa *ipso facto* [tym samym] staje się wywołańcem, a więc nie wolno imać wywołańca w domu wywołańca? Nie wolno imać wywołańca w domu szlachcica, ale znowu wolno imać tegoż szlachcica? Na domiar tych sprzeczności taż sama cytowana powyżej konstytucja powiada: że wolno imać wywołańców stronie *iure vincenti* [prawem zwycięzcy], tj. stronie, która wyrok na osobie wywołańca przewiodła, a powiada to bez wszelkiego bliższego zastrzeżenia, z czego by znowu wypływało, że czego nie wolno staroście, stróżowi bezpieczeństwa i wykonawcy woli prawa, to wolno prywatnej osobie.

Nie dziw, że przy takiej chwiejności i dwuznaczności prawnych przepisów nie tak źle się działo wywołańcom i infamisom. Urągają władzy, zuchwale uwijają się po kraju, sieją postrach naokół; zamiast żeby oni się bali społeczeństwa, społeczeństwo ich się boi, bo wywołaniec nie ma nic do stracenia i waży się na wszystko. „Wywołaniec mieszka sobie doma albo u powinnego – mówi Górnicki – najmniej go to nie obchodzi, że jest wywołany, a będzie miał na sobie nie jedną, ale siedem, osiem i dalej banicji, na które on śpi bardzo dobrze. A będzie takich 50, 60 i więcej w jednym powiecie... Nie wiem, co po tym odsądzać ich czci, gdy się do prawa nie stawia? Bo ten, kto go o to przeprowadził, ciepło głowę o to chować musi; jeść, pić, spać w domu swym bezpiecznie nie może, ustawicznie bać się musi, a ów, co jest czci odsądzony, nie boi się nikogo, owszem, każdy się go boi, jako szalonego”⁵⁶. Sejmik wiszeński wstawia się w 1632 roku za niejakim Janem Mościńskim, który będąc skazany na infamię za zamordowanie Kasprowa Prusinowskiego, 24 lat miał ją na sobie i nic mu się nie stało, aż się nareszcie doczekał, że szlachta uznała go za godnego „łaski i klemencji” i poleciła swoim posłom, aby się starali u króla o jego rehabilitację. Tym razem jednak, trzeba przyznać, nie uczyniła tego szlachta bez ważnych powodów, bo najpierw syn zabitego, Janusz Prusinowski, zgadzał się na to, po wtóre Mościński na polu bitwy krwią własną starał się zmyć z siebie tę plamę. „Zdrowie i dostatki swoje – są słowa sejmikowej uchwały – na wszelakich ekspedycjach moskiewskich ważył pod Smoleńskiem, na wycieczkach i szturmach pod oczyma śp. króla Zygmunta, pod Carowym Zameściem, pod Kłuszynem i pod Moskwą, potem w wyprawie chocimskiej i z Tatary”⁵⁷.

Jeżeli wywołaniec jest istotnie ścigany, to najczęściej nie ściga go prawo, nie ściga starosta, ale zemsta tego, którego skrzywdził. Tak ściga np. Jadwiga z Herburtów Ossolińska Prokopa Orzeckiego, wynajduje go schronionego u brata Adama w Ursku i na tego brata wyrabia wyrok wywołania⁵⁸. Tak ścigają wywołanica Stanisława Tarnawskiego, chorążego sanockiego, Drohojowscy, ścigają go u Stanisława Derśniaka, później u Marcina Sienieńskiego i obu pozywają o przechowywanie infamisa⁵⁹. Zdarza się także, że strona pokrzywdzona, widząc bezkarność człowieka, na

którym wyrok infamii wywalczyła, sama bierze na siebie rolę sprawiedliwości. Leonard Wyszyński, osiągnąwszy dekret wywołania i infamii na Adama Świechowskiego, widząc go obracającego się mimo to swobodnie po sąsiedztwach, chwyta go w 1613 roku, najmuje kata i sam na własną rękę ściąć go każe; Jakub Cebrowski i jego czterej synowie mają w 1616 roku wywołańca Jakuba Stockiego, odstawiają go do zamku w Trembowli, ale nie ufając w miecz sprawiedliwości, sami go na zamku koncerzami przebijają, a ciało topią⁶⁰, Krzysztof Kurzański chwyta skazanego infamisa, niejakiego Łysaka Kisiele alias Zgłobickiego, przebywającego sobie swobodnie w domu szlachcica Łubniowskiego w Ułyczem, i na progu domostwa głowę mu ucina, mszcząc się tym sposobem na wywołanym przez trybunał łotrze, który napadłszy w 1631 roku na dwór jego krewnej Doroty Czartoryskiej w Poddniestrzanach, porwał jej starszą córkę, potem wrócił, samą Czartoryską okrutnie zamordował, a jej młodszej córce, dwunastoletniej dziewczeczce, głowę na progu domu uciął⁶¹. Niegodzien był piekielny łotr innego losu, ale smutne to znamię czasu, że zbójcę po zbójce karać było potrzeba. Tym sposobem ukaranie zbrodni staje się znowu zbrodnią, aktem gwałtu i prywatnej zemsty, a tak sprawdzają się słowa Orzechowskiego: *Parit una iniuria mille iniurias, unus latro innumeros latrones* [jedna niegodziwość przyczyną tysięcy niegodziwości, jedna kradzież niezliczonych kradzieży]⁶².

Bardzo wymownym przykładem upadku władz i powagi rządów jest sprawa wywołańca Mikołaja Białoskórskiego. Ten Białoskórski za zbrodnie publicznej natury, bo jak czytamy w mandacie królewskim: *in causa nos et Rempublicam afficiente* [z przyczyny naszej i Rzeczypospolitej krzywdy], a więc za zdradę stanu, na infamię i proskrypcję jeszcze w 1619 roku na sądach sejmowych skazany, przez sześć lat bezkarnie i swobodnie żyje sobie w Polsce i kto wie, jak długo by był szydził z dekretów królewskich i sejmowych, gdyby tak, jak w przytoczonych powyżej wypadkach, nie doścignęła go nienawiść i zemsta osobistej natury. Miał na niego nieprzejednany „ran-
kor” [gniew, uraza] słynny starosta doliński, Jerzy Krasicki, o jakieś niezna-
ne nam zajścia i kiedy Białoskórski bawił sobie bezpiecznie we Lwowie w roku 1625, zwabił go przez swoją służbę pod pozorem kupna konia na schadzkę,

pojął, okułał, zakneblował mu usta, rzucił go do krytej karety i uwięził do Dubiecka, gdzie go osadził w najgłębszym i najciemniejszym lochu swego zamku.

Całe cztery lata trzymał starosta doliński infamisa w swoim prywatnym więzieniu. Ale Białoskórski miał krewnych i przyjaciół, którzy dowiedziawszy się o jego losach, zaczęli przemyślać o jego wyswobodzeniu. Ująć się otwarcie i w drodze legalnej o szlachcica więzionego bezprawnie było w tym wypadku trudno, bo uchodzić by to mogło za protegowanie infamisa, a więc za czyn, który prawo karało równą infamią. Znalazł się przecież śmiały szlachcic do protestacji i znalazł się też sposób nadania tej protestacji poniekąd prawnej podstawy. Niejaki Jan Otwinowski zaprotestował 1629 roku w grodzie sanockim przeciw Krasickiemu, zastrzegając się, że czyni to nie w obronie infamisa, którego potępia, ale w obronie zgwałconych praw pospolitych i znieważonej wolności szlacheckiej, bo starosta doliński nie pojął Białoskórskiego z gorliwości obywatelskiej, ale z osobistej nienawiści i żądzy zemsty, prywatnym gwałtem i z pominięciem władz publicznych, bo zamiast go wydać staroście dla czynienia zeń egzekucji, trzyma go w swoim dubieckim więzieniu. Równocześnie woźny, którego Otwinowski wysłał był do Dubiecka, stwierdził urzędowo uwięzienie Białoskórskiego i zdał przed grodem relację.

Sprawa stała się głośną i wywołała poruszenie między szlachtą. Krasicki, widząc, że to był pierwszy sygnał do akcji, która się skończyć może jakimś zamachem na niego i gwałtownym uwolnieniem Białoskórskiego, nie zastanawiał się długo, ale zaraz odstawił więźnia do zamku sanockiego i równocześnie doniósł o jego pojmaniu i odstawieniu królowi. Zbrodnie publicznej natury, jakich się dopuścił Białoskórski, musiały być bardzo ciężkie i mimo upływu dziesięciu lat niewymazane z pamięci, bo Zygmunt III wypisał bezwzględnie mandat do starosty sanockiego Mniszcha, wzywając go, aby najdalej w przeciągu trzech dni zarządził stracenie Białoskórskiego. Tymczasem pokazało się, że Białoskórski posiadał nie tylko glejt hetmański, ale i *salvum conductum* [glejt; dosł.: wolny przejazd] od króla samego. Mniszech, czy to rzeczywiście ze szczerej wątpliwości, czy też ujęty przez przyjaciół i krewnych Białoskórskiego, odwlokł egzekucję i udał się do króla po wyjaśnienie, *pro meliore informatione* [dla lepszej informacji], podnosząc zarazem, że w tej

sprawie brak ważnej formalności, bo nie ma delatora. Król odpisał, że delatora wobec przewidzianego wywołania nie potrzeba, a glejty i listy żelazne, jakimi by się zasłaniać mógł Białoskórski, uważać należy za nieważne. Był to więc nieodwołalny wyrok śmierci. Gdy tak sprawa stoi, krewny Białoskórskiego, kasztelan oświęcimski Andrzej Zborowski, który ze swoimi rotami znajdował się w pobliżu, wpada na czele 500 żołnierzy i ośmiu dział do Sanoka, uwalnia skazańca i zabiera go z sobą⁶³.

Taka możliwość i łatwość prywatnej egzekucji na wywołaniach nie tylko że niegodna była praworządnego państwa, ale kryła w sobie i pod innym względem wielkie niebezpieczeństwo, bo zagrażała osobom mało winnym lub wcale nie winnym, wydając ich na łup zemście i intrydze, robiąc z nich ofiary tzw. weksy [nękanie, prześladowanie] ze strony ludzi przemożnych i podstępnych. Bo trzeba wiedzieć, że bardzo łatwo było ściągnąć na siebie wyrok infamii i wywołania. Każde nieposłuszeństwo prawomocnemu wyrokowi karane było infamią, a prawomocny wyrok mógł zapaść i dojrzeć zaocznie, przez zaniedbanie, ubóstwo lub nieporadność pozwanej osoby. Dość było nie uiścić wywalzonego długu, przegrać proces o niedotrzymanie intercyzy, nie zapłacić winy sądowej, nie odsiedzieć dwunastu tygodni więzy za obrazę czci itp., aby w ostatecznej konsekwencji po pierwszych banicjach narazić się na dekret infamii, a wtedy było się na łasce przeciwnika, który wygrał sprawę, tzw. *iure vincentis* [prawem zwycięzcy], zwłaszcza jeżeli ten *iure vincens* był stroną znacznieszą, silniejszą, wpływową. Toteż było dobrą stroną królewskich glejtów, owych *salvus conductus*, że zawieszały na pewien przeciąg czasu następstwa dekretu infamii i dawały niewinnie lub zaocznie skazanemu czas i możliwość obronnych kroków prawnych. Ale kogo ściagała weksa możniejszego, w kogo godziła nienawiść i żądza osobistej zemsty, ten w czasie między ferowaniem dekretu a uzyskaniem sublewacji i glejtu, był w niebezpieczeństwie mienia, wolności, a nawet życia.

Jako przykład posłuży nam sprawa niejakiej Zofii Parżnickiej, szlachcianki ziemi sanockiej. Była to niespokojna bardzo kobieta, oddana nałogowo grasującemu w ówczesnym społeczeństwie pieniactwu, pozywała i procesowała się zawzięcie, nie szczędząc w swoich pozwach i protestacjach najcięższych i najdotkliwszych zarzutów. Miała sprawę w 1632 roku w grodzkim sądzie

sanockim, przegrała ją i czując się pokrzywdzoną, wytoczyła pozwy staroście Mniszchowi, pisarzom tegoż grodu Włostowskiemu i Kosmowskiemu i wszystkim w ogóle urzędnikom sądowym o zgwałcenie prawa, o korupcję, o pofalszowanie i kradzież skrutyniów i munimentów. Proces źle się skończył dla Parżnickiej; nie mogła udowodnić żadnego ze swoich hańbiących zarzutów i skazana została na trybunale za oszczerstwo. Nim skazana zdążyła wyrobić sobie *salvum conductum*, jeden ze spotwarzonych przez nią, Kosmowski, zasadza się na nią, chwyta ją jadącą do Piotrkowa i jako wywołankę odstawia do zamku sanockiego. Okuta w ciężkie kajdany, z obręczą żelazną na szyi, zagrożona karą miecza, w śmiertelnej trwodze przebywa ta kobieta dłuższy czas w więzieniu, aż nareszcie krewny czy też przyjaciel jej domu Jan Skarbek wyręcza ją z wieży, płaci za nią grzywny i daje satysfakcję spotwarzonym przez nią osobom. Swoją drogą, Parżnicka, wyszedłszy z więzienia, niepoprawna litygantka, zasypuje znowu wszystkich pozwami, nie wyjmując nawet i Skarbka, któremu zawdzięczała ocalenie⁶⁴.

Ten sam brak władzy wykonawczej przy zawłości prawa, którego „nikt nie umiał”⁶⁵, sprawiał, że nie było także bezpieczeństwa mienia. Procesy nie miały końca. Szły w fatalnym spadku z pradziada na prawnuka, bywały dziedziczną klątwą rodzin. Nikt, chyba jakiś specjalny znawca starodawnego polskiego prawa, nie zorientuje się w tym labiryncie, do którego autor nie próbuje wieść czytelnika, aby się w nim zaraz na wstępie nie zgubić. Niepodobna według aktów zorientować się w tym chaosie pozwów, terminów, astycji, kontrawersji, dekretów i nareszcie intromisji, które mają kończyć sprawę a zaczynają ją *ab ovo* [od początku]. Taka niejasna, powikłana, ciężka i leniwa procedura musiała przy wrodzonej szlachcie skłonności do pieniactwa wywołać liczną klasę zawodowych prawników, tzw. prokuratorów, którzy dla zysku włóczyli biednego klienta przez ten ciemny labirynt procesowy, podniecali właśnie rodzinne, budzili najgorsze instynkta napaści i chciwości, odводzili od zgody, podejmowali się spraw najniesłuszniejszych i bogacili się ruiną swoich ofiar. „Wspomnę najemne łgarze, prokuratorzy — powiada szlachcic anonim około 1606 roku w liście do przyjaciela — jest to u nas *pestientiale virus* [jad zarazy]; ażaż nie widzisz, jako idą w rzeczach, jako się bogacą, jaka presumpcja u nich; ludzie zacni przede drzwiami stoją u nich, a jakimi

figlami, szalbierstwy ci ludzie rosną...! Najemnymi łgarzami dlatego je zowę, że ja, kiedy bym miał jaką niesprawiedliwą kauzę, wstydziłbym się jej popierać. Ale najmę prokuratora, dam mu, a on łże za mnie, łże tak dobrze, że ziemia schnie, czyni z białego czarne, z czarnego białe. A toż i tym by się zabieżało, kiedy by był gęstszy człowiek w Koronie godny, co by pokój między ludźmi krzewili, jednaliby lityganty, sami by się sądzili, a ci szalbierze staneliby prędko. Bym tego jeszcze doczekać mógł, daj mi to Panie Boże, aby się w tym powiecie naszym choć dziesięć osób godnych a cnotliwych na to udało, żeby tę fatywę *propter Deum* [w Bożej sprawie] podjęli, niżli nadejdzie trybunał, a wszystkie sprawy, które by *per appellationem* [w apelacji] wyszły na trybunał, doma pojednali, porównali, aby wždy choć jeden powiat nie był na trybunale, a tym kauzołgarzom, aby ile tyle *questa* [ich] ubyło — już bym rad potem umarł zaraz”⁶⁶.

Takim zawodowym prawnikom, wierutnym szynkarzom moralnego alkoholu, którym dosłownie rozpajali swych klientów aż do szału pieniactwa, zależało nie tylko na tym, aby sprawę powierzoną sobie wikłać, jątrzyć, przewlekać, ale także na tym, aby z drobnej rzeczy zrobić wielką, z małego zajścia srogi gwałt, z drobnego przewinienia zbrodnię. Na samym wstępie tej książki podnieśliśmy już, jak ostrożnie trzeba się liczyć z prawdomównością protestacji i pozwów, jak trzeba koniecznie doszukać się prawomocnego wyroku lub aktu jednania, aby uwierzyć w sam fakt, o który chodzi. Najdiksza, że się tak wyrazimy, przesada panuje w protestacjach i pozwach, spisanych przez prawnych rabulistów owego czasu w imieniu strony pozywającej. Niekiedy protestacja cała jest zmyśleniem, zuchwałym kłamstwem co do joty. Nazywało się to robić *ex causa mentali realem, ex civili criminalem* [ze sprawy zmyślonej prawdziwą, ze sprawy cywilnej karną]; chodziło o prostą napaść, o zastraszenie słabszych i lękliwszych, o ekstorsję [wymuszenie czegoś na kimś], czyli jak to zwano usiłstwo, czasem o sam paszkwil tylko bez dalszych konsekwencji. Wyrobił się osobny styl w tych pozwach i protestacjach: przesadny, napuszysty, pełny fałszywego akcentu tragiczności i niesmacznej, a czasem komicznej tautologii, która miała sam fakt podnieść, uwydatnić i jak najjaśkrawiej oświecić, a zasypywała go raczej sieczką słów niepotrzebnych. Wyurządził ktoś komuś małą szkodę w lesie, to sakramentalną formułką pozwu

było, że „1000 drzew rodzajnych, ogromnych, budulcowych, masztowych wyrębał”, nigdy mniej i nigdy więcej; naruszył ktoś komuś uprawne pole, to już je „spustoszył, zniszczył, zniósł i w niwecz obrócił”, dopuściła się służba czyjaś burdy na własną rękę, o czym służbodawca nie wiedział i nie słyszał, to stało się to przecież „za jego sprawą, wolą, wiedzą, mandatem, znową i rozkazaniem”, a zabił ktoś kogoś w zwadzie, to nie zabił go krótko i wężłowato, ale „ważył się zabić, zamordować, uśmiercić i z żywego nieżywym uczynić, jakoż i zabił, zamordował, uśmiercił i z żywego nieżywym uczynił”.

Wobec tego wszystkiego nie dziw, że sprawy cywilne z powodu swojej przewlekłości wyczerpują cierpliwość przeciwników i przechodzą w sprawy kryminalne. *Cose lunghe diventano bisce* [dosł.: przedłużane sprawy stają się węzami, czyli ciągną się w nieskończoność], powiada włoskie przysłowie, a zastosować je można z osobiwą trafnością do procesów polskich, które rzeczywiście przez nieskończenie długie trwanie plątały się w jakiś nierozwikłany nigdy kłęb żmij jadowitych. Pomagano sobie gwałtem; urosła owa nieszczęsna praktyka dochodzenia swoich pretensji „prawem i lewem” — trybunałem i kryminałem. „Prawem i lewem” weszło w zwyczaj i w codzienny słownik szlachecki — *iure et gladio* [prawem i mieczem] nazywano to po łacinie już w pierwszej połowie XV wieku⁶⁷ — odtąd aż w głąb XVIII stulecia ani słowo ani rzecz nie wychodzi z użycia. Używa tych słów jeszcze Matuszewicz w swoich pamiętnikach i to wcale nie w znaczeniu tradycyjnego tylko przeżytku, ale jako żywego hasła.

Pozew położony w domu szlachcica przez woźnego był zazwyczaj strasliwym gościem; był żagwią wniesioną w dom zdradziecko, zniszczeniem bytu i spokoju, zapowiedzią nieszczęścia, wojny, ruiny — i wprawdzie niepodobna usprawiedliwić, ale łatwo zrozumieć, że w 1604 roku trzech bracia Grochowscy, ujmując się za swym krewnym, starcem schorzałym, napadli na niejakiego Przyłuskiego w Sanoku i z okrzykiem: „Tyżeś to ten Przyłuski, co starca twoimi pozwami nękaasz!” — wypalili do niego z półhaków i na miejscu trupem położyli⁶⁸. „Jeśli mnie p. Hościśławski będzie pozywał — odgraża się szlachcic sanocki Paweł Dwernicki — tedy pozew jego uwiążę koniowi do ogona, szukać go będę w domu jego, szyję mu utnę, a sam ujdę na Ukrainę — niech mnie tam żona jego szuka!”. „Czemu mnie pozywasz!” — woła Aleksander

Mużyło Buczacki – i przebija sztychem szabli szlachcica Radziszewskiego, który go ciągle obsyłał pozwami⁶⁹. Wszystkie prawie głośnie i niekiedy bardzo krwawe wojny prywatne w województwie ruskim, o których w dalszym toku będzie mowa, bratobójcze zajścia między Łahodowskimi w ziemi lwowskiej, między wojewodziną Golską a Potockimi, Bałabanem a Jabłonowskim, między braćmi Bełżeckimi w ziemi halickiej, między Stadnickimi a Drohojowskimi, Stadnickim a Herburtem, Herburtem a Porudeńskimi w ziemi przemyskiej miały źródło w procesach cywilnych. Bo i w nich, gdy już ostatecznie, niekiedy po najdłuższych latach, przyszło do dekretu, nie było go komu wykonać.

Po przysądzeniu komuś jakiejś wywalczonej sumy lub jakiejś posiadłości ziemskiej miała nastąpić tzw. intromisja, tj. oddanie wyprocesowanej rzeczy. Na tę intromisję udawał się zawsze woźny ze swoimi dwoma szlacheckimi asystentami i oczywiście powracał z kwitkiem, bo zasądzony wzbraniał zawsze intromisji, czyli jak się wyrażał stereotypowy frazes relacji woźnego lub wicesgerensa: *temere denegavit* [pospiesznie zaprzeczono]. Po każdej takiej intromisji rosły koszty i zakłady, rosły zyski i przezyski, intromisja szła za intromisją, a zawsze była *denegata* [zaprzeczana], i stawało na tym, że wygrywający proces, mając sobie przysądzony przedmiot sporu *cum lucris, perlucris et vadiis duplicatis, triplicatis* [z zyskami, przezyskami (zasądzonymi roszczeniami) i podwojonymi, potrojonymi opłatami] itp. widział się bezwładnym i bezradnym wobec upornego dłużnika. „Ono lepak bardzo śmieszna – mówi o tym Modrzewski – że też i władności królewskiej, którą ramieniem królewskim zowią, majątność czyją z wynalazku prawa wziąć i baba jednym słówkiem zabronić może. Skazując więc sędziowie sowite i trojakie zakłady tym, co wyganiają z przysądzonych imion, ale nie wiem, jeśli kto kiedy płacił⁷⁰”. I nie tylko jednym słówkiem wzbraniała baba intromisji, ale czasem i kijem. Kiedy np. Zaklika w roku 1670 chce się urzędownie intromitować do Uherska, szlachcianka Jasienicka z czterema córkami: Baską, Haską, Zoską i Halską, bardzo tegiej urody – *cum quator filiabus suis iam maturis, vigore plenis* [z czterema córkami swoimi, dojrzałymi i pełnymi wigoru], jak się żali Zaklika – wypada z dworu, dziewczki z kijami uderzają na intromisję, obijają Zaklikę, woźnego i obu asystentów szlacheckich i wyganiają ze wsi⁷¹. I tu

starosta miał obowiązek wykonać egzekucję zbrojną ręką, *armata manu*, i z przyzwaniem szlachty całego powiatu do pomocy, *mota nobilitate* [ruszeniem szlacheckim], ale widzieliśmy już przy sprawach kryminalnych, z jaką trudnością przychodziły do skutku takie starościńskie egzekucje. Cóż tedy pozostawało? Nie można było dojść końca „prawem”, dochodziło się go „lewem”. Następował zbrojny zajazd – co miało być aktem sprawiedliwości, zmieniało się w akt prywatnego gwałtu.

A przez ten cały labirynt prawny i obyczajowy, przez ten cały kalejdoskop społeczny przemyka się bezustannie w najrozmaitszych rolach postać szczególnie polska, od całego życia w przeszłości nieodłączna, jaskrawym kontrastem między pozornie wysokim znaczeniem a rzeczywistą nicością nie wiedzieć, czy komiczna czy tragiczna, wszędzie obecna, wszędzie konieczna, wszędzie posyłana i zewsząd wypędzana – woźny! Lekceważony, prześluszany kijem, szczuty psami, pławiony w wodzie, czasem okrutnie zabijany – ten woźny polski jest przecież początkiem, środkiem i końcem wszystkiego, alfą i omegą każdej sprawy, sprężyną administracji i sądownictwa, okiem i uchem władzy, człowiekiem na wszystko, dla wszystkich i do wszystkiego. A jakby w dziwnym dopełnieniu tych swoich losów, człowieczek ten sam jeden żyje do dziś dnia, kiedy to wszystko zginęło. Mickiewicz zachował nam woźnego w *Panu Tadeuszu* jak „muszkę w bursztynie”, zrobił go postacią wieczystą.

Nie wiemy, czy jest w historii prawnej i obyczajowej jakiegoś innego narodu postać podobna, jak naszego polskiego woźnego, z takim szumnym tytułem, a z tak nikczemną dolą, z takim ogromnym zakresem agend, a z tak nędznymi warunkami do ich spełniania. Mianowany przez samego króla osobnym majestatycznym dekretem, czyli tzw. autentykiem pod pieczęcią koronną, który go „obiera, czyni i postanawia” funkcjonariuszem publicznym, daje mu „moc i wolność” do spełniania swego urzędu „we wszystkich województwach i powiatach”, obdarzony tytułem, który brzmi równie pompatycznie po łacinie: *Ministerialis Regni Generalis* [dosł.: Generalny Minister Królestwa], jak po polsku: „Woźny Ziemiański, Generał Koronny”, zaszczycony przydomkiem „opatrzny”, który ma określać niejako warunek czujności i przezorności – woźny spełnia czynności sądowe i administracyjne

niepospolitej wagi, bo nawet takie, które dziś powierzane bywają tylko notariuszom, a nawet całym komisjom sądowym i politycznym. On jest nie tylko woźnym w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, nie tylko sługą i posłańcem sądu, nie tylko doręczcą, czyli jak to się nazywało „kładzie” pozwu, ale odprawia urzędowe wizje, zbiera informacje dla stron i sądu, daje roki licowe, ogląda rany i klasyfikuje je według obowiązującej taksy, jeździ na czynienie sprawiedliwości przy oddawaniu zbiegłych poddanych, nadzoruje wykonanie wyroków, asystuje przy przysięgach, „aresztuje” rzeczy i osoby, to znaczy stwierdza urzędownie ich istnienie na pewnym miejscu i w pewnym czasie i kładzie na nie niejako dłoń prawa, obwołuje głowę zabitego, czyli odprawia tzw. *proclamatio capitis*, co się zawsze odbywało uroczystie w ten sposób, że woźny przy pogrzebie zabitego, nim trumnę złożono do grobu, obwoływał po trzy i czterykroć ponad formę prawa – *ter quaterque ultra formam iuris* – kto jest sprawcą zabójstwa. Oczywiście, że stosownie do powszechnego zwyczaju szlachty popierania sporu „prawem i lewem”, i on też służy stronom na prawo i na lewo, nadaje formę prawną najprzeciwiejszym prawu obwieszczeniom, bo nosi kartele wojownicze, czyli tzw. odpowiedzi, i na rynkach i jarmarkach ogłasza nawet, że ktoś na kogoś zamierza uczynić zbrojny najazd. W każdej czynności jego asystować muszą mu dwaj osiadli szlachcice.

Ale ten funkcjonariusz publiczny, spełniający urząd tak wielostronny i pełny odpowiedzialności, jest zazwyczaj prostym chłopem, bardzo często nie eliberowanym [nie uwolnionym] jeszcze poddanym szlacheckim, bierze za każdą czynność po groszu od mili, nie umie najczęściej ani czytać, ani pisać, a owa „moc i wolność” w spełnianiu urzędu, zapewniona mu dekretem monarszym, w rzeczywistości tak wygląda, że nic nie może i nic mu nie wolno, jeżeli nie chce się narazić na zniewagę, na sińce, na rany albo na śmierć nawet, i jeżeli nie umie się ratować sprytem, chytrym podstępem, i nie potrafi położyć pozwu zniecka, szybko, złodziejskim chyłkiem, aby zaraz potem ratować zdrowie ucieczką. Ci dwaj asystenci jego, ci dwaj sakramentalni szlachcice, co powagą swego świadectwa mają uwierzytelniać jego relacje, to dwaj chodaczkowi lub zagonowi biedacy, tego samego zapewne co i on poziom, na których pan wójt lwowski, Anczewski, nie waha się wołać

publicznie: „Bijcie kijem woźnego i szlachtę a wypchnijcie ich z ratusza! Wejże wej! Łacno dostać za szóstak szlachcica”⁷². Można sobie wyobrazić, jakiej wagi i wartości były relacje takiej trójki! Prawo ustanawiało ciężkie kary na woźnych przekupnych i zeznających fałszywie; woźny przekonany o to przez sześciu świadków, „miał być z urzędu zrzucen, a na twarzy na wieczny znak jego fałszu miał być przepalony i pryskowan”⁷³, ale to, jak tyle innych surowych, a nigdy niewykonywanych postanowień karnych, nie zapobiegało złemu. „Mówią ci woźniowie — czytamy u Górnickiego — gdy, prawi, zeznam sprawiedliwie, tylko mi grosz dadzą, a gdy nieprawdę zeznam, dadzą mi kopę. A co większa, woźne macie swe własne chłopy, których życie i śmierć jest w ręku waszych, jakoż tu woźny zeznać nie musi tego, co mu każą?”⁷⁴.

Protazy śpieszył włożyć swą woźnieńską odzież.
Przecież żupana ani kontusza nie kładzie,
One służą ku wielkiej sądowej paradzie,
Na podróż ma strój inny: szerokie rajtuzy
I kurtę, której poły podpięte na guzy
Można zakasać albo spuścić na kolana;
Czapka z uszami, sznurkiem u wierzchu związana,
Wznosi się na pogodę, spuszcza się przed słotą.
Tak ubrany wziął pałkę i ruszył piechotą,
Bo woźni przed procesem, jak szpiegi przed bojem,
Muszą kryć się pod różną postacią i strojem⁷⁵.

Tak opisał Mickiewicz woźnego Protazego, wybierającego się z pozwem. Obrazek ten dałby się przenieść zapewne i w czasy, o których piszemy. Mamy atoli kilka szczegółów, które pozwalają nam wyobrazić sobie, jak wyglądał ówczesny woźny, i dostarczają także garstki rysów do charakterystyki jego fizjonomii zewnętrznej i moralnej — a to dzięki humorystycznej obłacie, jednemu z tych żartobliwych konceptów, którymi podpiskowie zapełniali niekiedy próżne karty ksiąg grodzkich. W aktach lwowskich⁷⁶ czytamy ujętą we wszystkie formułki i floresy prawne inskrypcje, zeznaną przed grodem konstantynopolitańskim, mocą której chan tatarski Szangierej Sołtan darowuje

(*dat, donat, inscribit et resignat*; daje, darowuje, podpisuje i zrzeka się) lwowskiemu woźnemu Maranowi Krobzniewskiemu w wieczyste posiadanie miasto Oczaków i pozwala mu intromitować się tam bezzwłocznie przez któregokolwiek woźnego, jednakże w asystencji nie dwóch, ale 200 000 szlachty polskiej itp. Dowiadujemy się z tej wesołej elukubracji, że woźny miewał przy lewym boku szablę z kagańcem, a przy prawym torbę sarnią *seu capsam* [lub futerał], w której prócz papierów miał „czarną juchę” na posiłek w podróży; że lubił bawić w „hultajskiej gospodzie” i zaglądać do kieliszka, że pod hasłem: Pal bracie, aby do mnie! *multos quatircas et* [wiele kwart i] półgarnczków gorzałki *ebibit* [wypił], że grywał w karty i kości *ante stajniam cum masztalerzibus* [latynizacja polszczyzny, dosł.: przed stajniami wraz z masztalarzami] itd. — same szczegóły, które niezbyt pochlebne dają wyobrażenie o obyczajach i gustach tego sługi prawa.

Życie i zdrowie woźnego stało pod opieką prawa; kto woźnego rani, płaci sowito za ranę szlachecką, choćby woźny szlachcicem nie był; kto go zabije w urzędzie, płaci sowito głowę szlachecką, a za winę ma siedzieć rok i sześć niedziel. Tak przynajmniej było wedle zwyczajów mazowieckich, zatwierdzonych na sejmie walnym toruńskim z 1576 roku⁷⁷, czy jednak te same postanowienia obowiązywały w innych ziemiach polskich, nie wiemy; w aktach województwa ruskiego, jakie znamy, spotykaliśmy liczne zapiski o gwałtach popełnionych na osobie woźnego, ale ani jednego śladu ukarania winowajcy. W rzeczywistości biedna ta figura narażona bywała na dotkliwe zniewagi, a nawet na okrucieństwa. Woźny musiał często używać podstępów, aby dostać się niepostrzeżenie do dworu i położyć pozew, bo wiedział, że tak będzie przyjęty, jak gdyby podkładał ogień; kiedy chodzi o położenie pozwu Jerzemu Krasickiemu w Dolinie, woźny dostaje się na furze w beczce soli do zamku. Z przykrości, jakie spotykały woźnego, najczęstsza była i najdłużej też żyła w tradycji ta, która Protazego spotyka ze strony Wołodkowicza, co

Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,
I postawiwszy przy drzwiach z kijami hajduki,
Sam nad woźnego głowę trzymał goły rapier,
Krzyżąc: albo cię zetnę albo zjedz twój papier!⁷⁸

Protazy, skradłszy się do okna, wpadł w ogród konopny. Nie tak szczęśliwie powiodło się woźnemu Maciejowi Wołosieckiemu, któremu szlachcic Jan Hynek w Dublanach każe w 1588 roku zjeść pozew, a gdy się biedak wzbrania, zmusza go do tego, wpychając mu papier szablą do gęby, czym go okrutnie rani, po czym przywiązuje do ogona końskiego i tak ze wsi wywlec każe⁷⁹. Inny szlachcic, Stanisław Bolestraszycki, każe gwałtem pić woźnemu wodę z solą, wlewa mu ją przemocą w gardło i taką torturą o śmierć go przyprawia⁸⁰. Adrian Orzechowski w okrutny sposób zabija woźnego, który jawi się u niego z dekretem intromisyjnym na rzecz Marii Fredrowej⁸¹, Jerzy Ostrowski, rozgniewany, że mu woźny Jan Terlecki doręcza pozew przy gościach, każe go służbie bić aż do omdlenia, do na pół żywego strzela jak do celu, zwłoki rzuca do wiru Zgniłej Lipy, a dokonawszy tej zbrodni, woła z satysfakcją: „Jużem wygrał i jużem *liber* [wolny], bom woźnego zabił”⁸².

II

Odpowiedzi. *Vadia regalia*. Rzadkość pojedynków. Zajazdy. Sprawa Derśniaka i konfederacja szlachty przemyskiej. Gubienie zwłok. Porywanie ludzi. Niemirycz i Uberowicz. Łaziński i Montelupi. Dalsze przykłady. Krwawe odwety. Konkluzja.

Rozprawiano w Polsce ustawicznie o korekturze prawa i o skróceniu postępków sądowego, ale kończyło się na tym, że jedyną korekturą była „odpowiedź” i gwałt za nią idący, a jedynym skróceniem zajazd i wojna sąsiedzka.

Odpowiedź, po łacinie *litterae diffidationis* [list wypowiedni], była karą, pisemnym uwiadomieniem, które szlachcic przysyłał szlachcicowi, wypowiadając mu walkę na śmierć lub życie i wzywając go, aby się strzegł przed nim na każdym kroku. Odpowiedź nie była zwyczajem pierwotnie polskim, z gruntu swojskiego urosłym; jak tyle innych zwyczajów dostała się do nas z Niemiec. Sama nazwa „odpowiedź” jest niezgrabnym przetłumaczeniem niemieckiego terminu *Absage*, *Absagebrief*. W Niemczech bardzo starożytny, obyczaj ten u nas, a specjalnie na Rusi Czerwonej jeszcze w wieku XV nie istnieje; najstarsza zresztą odpowiedź, jaką znamy z literatury, datuje się z 1532 roku, a publikowana była wraz z innymi późniejszymi z aktów płockich, sandomierskich i łomżyńskich⁸³. Ze zwyczaju zapewne rozpowszechnionego, ale prawnie nieuznanego, a więc tylko tolerowanego, odpowiedź stała się od 1588 roku rodzajem legalnego aktu, autoryzowanego środka obrony na wypadek następstw kryminalnych po krwawej jakiejś waśni osobistej. Konstytucja z pomienionego roku, wierna tradycyjnej niekonsekwencji ustawodawstwa sejmowego, zabrania właściwie odpowiedzi i uważa ją za naruszenie pospolitego pokoju, orzeka bowiem, że szlachcic, który by szlachcicowi posłał odpowiedź, ma zapłacić szkody stąd wynikłe i winę 100 grzywien, ale zaraz następnie stanowi: „A gdyby kto, będąc

pozwany *criminaliter* [w sprawach karnych], bronić się chciał odpowiedzią, którą by *ante crimen* [przed przestępstwem] miał posłać, tedy się inakszą bronić nie może, jedno taką, którą by przez woźnego i dwóch szlachciców uczynił i onę dał do ksiąg grodu, pod którym by mieszkał ten, komu odpowiedział, wpisać *personaliter* [osobiście], a po wpisaniu nie ma przeciwko stronie on odpowiednik nic *violentim* [przemocą/gwałtem] poczynać do sześciu niedziel. Gdyby się tak nie zachował, tedy takowa odpowiedź nie ma iść *ad defensionem criminis* [do obrony przestępstw]⁸⁴. Z konstytucji tej i z samej jej niekonsekwencji wypływałoby, że właśnie około tego czasu odpowiedzi zagęściły się bardzo i przybrały dziką cechę gwałtów; próbowano tedy najpierw odwieść szlachtę od zwyczaju przesyłania sobie odpowiedzi nałożeniem dotkliwej dla wielu kary pieniężnej, a równocześnie ująć sam zwyczaj w karby przystojniejsze, nadać mu cechę pewnej lojalności, utrudnić go warunkiem osobistego stawienia się z odpowiedzią do grodu, dać czas dłuższy, bo sześciotygodniowy, stronie wyzwaney do obrony, wyzywającej do rozwagi.

Odtąd zaczynają się w aktach pojawiać odpowiedzi z powołaniem się „na konstytucję szczęśliwej koronacji króla Pana naszego” i mają walor obrony na przyszłość. W grodzie przyjmują je do ksiąg z początku tylko na zasadzie: *cum nemini acta deneganda sint* [nikomu (wpis do) akt nie będzie odmówiony] i z zastrzeżeniem, że to się czyni bez uszczerbku i zagrożenia pospolitego prawa i spokoju, później jednak bez żadnych wyraźnych zastrzeżeń. Spotykamy odpowiedzi często aż do pierwszych kilkunastu lat XVII stulecia, po czym zwyczaj ten ginie powoli. Najwięcej było ich w ziemi przemyskiej — sam Diabeł Stadnicki wydał ich kilkadziesiąt — mniej w ziemi lwowskiej i halickiej, najmniej w sanockiej. Odpowiedź miała swoją stałą formę, której się zawsze trzymało z małymi odmianami; zaczynała się od powodu, który ją wywołał, a kończyła się przestrogą, aby wyzwany strzegł się odpowiadającego „w domu, w kościele, w łaźni, na polu, pijąc, jedząc, śpiąc, w drodze i na każdym miejscu, bo się na nim mścić będzie i na gardle jego usiądzie”. Czasem odpowiedź wbrew konstytucji jest ustną i niezgłoszoną w grodzie; tak np. w 1602 roku Kasper Krzczowski posyła woźnego z dwoma szlachcicami do Teodora Szeptyckiego z krótkim poleceniem: „Powiedzcie mu, że go koniecznie zabiję i na gardle jego usiędę⁸⁵”. Zazwyczaj odpowiedź

idzie od jednej osoby do jednej osoby, zdarzają się jednak przykłady, że całe grono osób przesyła jednemu lub jeden całemu gronu odpowiedź. Stanisław Kałuski, Piotr Zawadowski, Florian Ostrowski i Bartosz Żminkowski przesyłają zbiorową odpowiedź Michałowi Moszyńskiemu, iż „żałując niepomału okrutnej śmierci nieboszczyka pana Jana Kałuskiego, brata ich i powinno, przez niego zabitego etc., mścić się chcą na gardle jego, aby krew krwią zapłacona była”⁸⁶. Maciej Poradowski odpowiada Krzysztofowi Kostce, wojewodzie pomorskiemu, datując z obozu pod Derptem, „jemu i wszystkim sługom jego szlachcicom, których natenczas przy nim zastanie i kogokolwiek zastanie”⁸⁷.

Przy zbiorowej odpowiedzi zachodzą niekiedy osobne zastrzeżenia; przesyłający odpowiedź oświadczają, że tylko w pewnym szczególnym wypadku nastawać komuś będą „na gardło”. Tak np. niejaki Tomasz Kulczyński przesyła w 1574 roku odpowiedź Aleksemu Krasickiemu z Rusiatycz, „za krzywdę nieznośną, a to dlatego, iżes ty, gdym ci służył, częścią namową, a na ostatek srogą kaźnią mnie jako tego, który nie rozmyśliwszy się na to, żem powinniejszy był gardło być dać, aniżeli takowy cyrograf na się, przywiodłeś do tego, iżem ci pozwolił być, w więzieniu będąc, na cyrograf od ciebie wedle myśli twojej napisany, którym mnie obowiązałeś, wyjmując mnie z szlachectwa mego, tobie z przodków twych dobrze wiadomego”, tj. za to, że Krasicki zmusił Kulczyńskiego do podpisania dokumentu, w którym tenże zeznawał, że nie jest szlachcicem. Za Kulczyńskim ujęło się całe grono przeciw Krasickiemu, oświadczając że wszyscy wspólnie przy pokrzywdzonym „o gardło stawać mu będą”, jednakże tylko wtedy, jeśli go spotkają w obecności Kulczyńskiego. Przyłącza się do tej gromadnej odpowiedzi także Andrzej Fredro z Pleszowic z tym samym ograniczeniem: „że Kulczyński, przyjaciel mój — są słowa jego odpowiedzi — tak wielce jest od ciebie ukrzywdzon, przy nim opowiedzieć się, przestrzegając gniazda swego poczciwego Fredrowego, muszę... A gdziebym się z tobą bez przyjaciela swego potkał (tj. bez Kulczyńskiego), pokój zachowuję, ale przy bytności jego o gardło ci stać będę”⁸⁸.

Zdarza się także, że wyrwie się szlachcic „lew i rezolut”, który na wzór niemieckich *Raubgrafów* przesyła odpowiedź całemu miastu. Tak zrobił w 1623 roku Janusz Tyszkiewicz, który odpowiada burmistrzowi, wszystkim

rajcom i całemu miastu Lwowowi, tak, że mieszczenie lwowscy, niepewni życia w domu i podróży, uciekają się pod opiekę króla, który ustanawia przeciw Tyszkiewiczowi *vadium* [opłatę] w sumie 50 000 dukatów⁸⁹. Za przykładem Tyszkiewicza poszedł w cztery lata później wojewodzie bełski Aleksander Prusinowski, który przesłał odpowiedź *proconsuli, consulibus, advocato, scabinis totique civitati Leopoliensi* [prokonsulom, konsulom, adwokatom, sędziom i wszystkim obywatelom Lwowa] za obrazę, która go spotkała ze strony magistratu lwowskiego⁹⁰. Bywa i tak, że odpowiedź traci rycerskie cechy otwartego wyzwania, a staje się tylko środkiem pospolitego gwałtu i ekstorsji. Tomasz Grochowski, kasztelan derpski, posyła dworzan swych do szlachcica z Komarnik Libichowskiego z odpowiedzią taką: „Jeśli mnie z tych wszystkich protestacji, procesów prawnych i dekretów wszelkich kwitować nie będziesz, wiedz o tym, że cię pewnie zabić każę”. „Czeladź swoją wszędzie rozesłał — żali się biedny szlachcic — którzy mnie ustawicznie szpiegowali, nigdzie bezpieczny zdrowia nie byłem, w dzień nigdy *secure* [bezpiecznie] nie mogłem jechać, chyba nocą i to drogami niezwykczymi — co ja widząc a wiedząc, że już kilku przed tym z takiejże przyczyny zabić rozkazał i według jego rozkazu pozabijano, musiałem poniewolnie w grodzie przemyskim z procesów i dekretów kwitować⁹¹. Pomijamy dalsze przykłady, chociaż każdy z nich dorzuca jakiś drobny rys do charakterystyki społecznej, a przytoczymy w całości jedną odpowiedź z 1603 roku, która nie tylko oryginalną swoją formą, ale i treścią jest małym obrazkiem obyczajowym. Stanisław Malawski przesyła Stanisławowi Chinowskiemu do Chmielnika następującą odpowiedź: „Chinowski! Żeś ty, zapomniawszy przystojności szlacheckiej, zapomniawszy zwyczaju cnotliwych ludzi i prawa pospolitego, nie „odpowiednie”, bez wszelkiej przyczyny strzeliłeś do mnie, gdym polując, jechał z charty, zdradliwie z tyłu, czego nie zwykli jeno zdrajcy czynić, koniaś pode mną postrzelił, który mi zaraz, skorom do domu przyjechał, zdechł — a iż lepiej poczuwam się w przystojności szlacheckiej, niżli ty, i zwyczajem takich zdradliwych sposobów i sztuk, których ty nade mną bez wszelkiej przyczyny dania zażył, podchodzić cię nie chcę, przeto czyniąc prawu pospolitemu dosyć i powinności mej szlacheckiej, odpowiadam ci przez woźnego i szlachtę, abyś się mnie strzegł na wszelkim miejscu, w domu, w kościele,

w polu, w łaźni, śpiąc, chodząc, za to postrzelenie, któreś do mnie czynił zdradliwie a niecnotliwie, bez wszelkiej przyczyny mi dania, bom z tobą, jako żywo, ani jadł, ani pił i dziesięciu słów nigdy nie mówił, zaczem na twym gardle mścić się będę. Pochwaliłeś się po tym strzelaniu rycerstwem; siła takich rycerzy, co z krzaków strzelają, poćwiartowano; ciebie to nie minie. A kiedyżes ty rycerstwa dokazał? Któż o tym słyszał? Przeciwno któremu też się ty nieprzyjacielowi koronnemu mężnie stawiał? A kiedyżes Turczyna, Tata-rzyna, Moskwicina w polu do boju stojącego widział? Cóżes ty za rycerz, żeś rok albo dwa, żołniersko służąc, kokosze dławił? I takiś ty rycerz, jako ów Cieszek, błazen litewski, który króla Stefana tak prosił: *Milostywy korolu, proszu o nahrodu, na dwudziestu wojnach buwał, nikoli sia nie bijał!* Toś ty też tak żołniersko służył, a jako żyweś, nieprzyjaciela koronnego nie widział. Aż nie pod wiechą gęba i oko przecięte? Dobryś basarunek [baty, cięgi] za to wziął, na który i teraz zarabiasz. Mój miły panie rycerzu, czemużes się też o oko nie zemścił, kiedyś tak mężny, o co zawżdy, upiwszy się, przegrązasz? Wszystko twoje męstwo w gębie. Ukażę ja tobie, że cię lepiej ugodzę, niż ty mnie, nie konia, jako ty, ale ciebie”⁹².

Nie było żadnej władzy prewencyjnej, która by zapobiegała z urzędu swego takim jawnym groźbom, takim głośnym, publicznym zapowiedziom gwałtu i zabójstwa. Był tylko jeden środek, na pozór bardzo potężny, w istocie rzeczy bardzo błahy i płonny. Były to zakłady, czyli tzw. *vadia*. Jeszcze w XV wieku takie *vadium vallatum* [opłata ochronna] albo *treuga pacis* [rozejm pokojowy] zakładane bywa między stronami przez wojewodów, starostów i tzw. tutorów ziemskich, a rzadko bardzo przez samego króla; później już tylko król je ustanawia. Na zażalenie i prośbę zagrożonej strony, czasem także, ale rzadziej, za interwencją osób trzecich, król zakładał między przeciwnikami *vadium* pieniężne, stanowiąc, że strona, która pierwsza rozpocznie kroki nieprzyjacielskie, zapłacić ma stronie, która zachowała się spokojnie, połowę zakładowej sumy, druga zaś połowa ma być wzięta na skarb królewski. Spotykamy w aktach bardzo wiele mandatów takich królewskich, najwięcej w aktach ziemi przemyskiej, a opiewają one na rozmaite, czasem bardzo wysokie sumy. Najniższy zakład wynosi 300 zł, najwyższy dochodzi do 200 000 zł i 150 000 grzywien, jak np. w 1605 roku między referendarzem

koronnym Janem Tomaszem Drohojowskim a Stanisławem Stadnickim z Leska, między Łukaszem Opalińskim a Stanisławem Stadnickim z Łańcuta (Diabłem). Zdarzają się takie *vadia* nie tylko między jednostką a jednostką, ale także niekiedy między całym zastępem ludzi a jedną osobą, jak np. w 1611 roku *vadium* między całą niemal drobną szlachtą ruską ziemi przemyskiej a wyniesionym wbrew jej woli na biskupią stolicę władzę Atanazym Krupeczkiem (50 000 dukatów⁹³); dalej nie tylko między szlachcicem a szlachcicem, ale między szlachcicem a plebejuszem, jak np. w 1621 roku między chorążym przemyskim Prokopem Pieniążkiem a „uczciwym” Tomaszem Bieńkowiczem (300 zł); między szlachtą a całymi miastami, jak np. w 1608 roku między Janem Brzuchowskim a miastem Rzeszowem (5000 grzywien), między Januszem Tyszkiewiczem i Aleksandrem Prusinowskim a miastem Lwowem (50 000 dukatów), między Piotrem Bolestraszyckim a mieszczanami przemyskimi (10 000 zł); między wojewodzie lubelskim Piotrem Firlejem a miastem Krosnem (20 000 zł); między Janem Męcińskim a miastem Jasłem (6000 zł); czasem także między mężczyzną a kobietą, jak np. w 1607 roku między Jordanem Spytkiem a chorążyną czerwińską, Jadwigą Biejkowską, (30 000 zł) lub między Stadnickim z Leska a wdową po Janie Tomaszu Drohojowskim (200 000 zł). Nikogo te *vadia* królewskie nie obroniły i żadnej wojnie prywatnej nie zapobiegły. Mimo olbrzymich zakładów królewskich odegrała się krwawo i skończyła tragicznie wojna Stadnickiego Diabła z Opalińskim, zginął z rąk żołnierzy swego przeciwnika referendarz Drohojowski, zastrzelił Jan Bąk Lanckoroński Jerzego Wystempa, miecznika ziemi halickiej. Nie spotkaliśmy się też z najmniejszym choćby śladem, aby ktokolwiek zapłacił lub przynajmniej był pozywany o zapłacenie takiego królewskiego *vadium*. Niestety, powaga królewska w owych czasach tylko cieniem i echem stoi, a jedno i drugie fałszywe; majestat rzuca cień okazały w uniwersałach i mandatach, odbija się uroczystym echem w nieszczerych, pełnych lojalności frazesach szlachty — ale poza cieniem nie ma rzeczy, poza echem nie ma gromu. Dzwon pusty, a od małego serca głośny.

Odpowiedzi uchodziły za rzecz rycerską, a nie były nią wcale. Gdyby były deklaracją wojny między rodem a rodem, byłyby miały przynajmniej za sobą tytuł tradycyjnej, niejako rasowej, fizycznej nienawiści szczepu przeciw